

Maciej Henryk Modzelewski

Sudecka
poezja i proza
XXXV

(L) istnienie

BIBLIOTHECA
BIELAVIANA

Sudecka
poezja i proza
XXXV

Maciej Henryk Modzelewski

Sudecka poezja i proza

(L)istnienie

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

2020

Redakcja
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

Korekta
Urszula Ubych

Skład i łamanie
Anna Brzezińska

Rysunki
Roman Gargas

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Bibliotheca Bielaviana
Bielawa 2020

ISBN 978-83-954085-6-4

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
www.bibliothecabelaviana.info
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Ja – Człowiek



Ja – Człowiek

Przybijam ręce Boga do krzyża, a do picia podaję mu gąbkę nasyoną octem,

strzelam do drugiego człowieka z karabinu, potem ratuję z pożaru dziecko.

Zachwycam się zachodem słońca, płacę czytając wiersze Miłosza, patrzę jak różanouse dziewczęta całują z zapamiętaniem Judasza.

Moje nogi pacyfisty są obute w ciężkie wojskowe bucior, a ja potrafię tak chodzić, żeby nie zdeptać nawet stokrotki.

I wcale nie mam twardego serca, nawet wtedy gdy otaczają mnie kamienne kamienie. Nie ucieknę przed swoim człowieczeństwem, chociaż ono jest bardzo niedoskonałe. Stawiam płot z drutu kolczastego,

odbieram nadzieję i daję ją, uskrzydla bliźnich albo podcinam skrzydła.

Mam piękną duszę i czynię wyłącznie szlachetne uczynki, poszukuję światła i pochylam się nad każdą wyciągniętą ręką.

Bóg jest doskonałością, ja tylko człowiekiem z duszą ukrytą w kruchym,

glinianym ciele. Ja – człowiek mam sumienie. (Czasami dziurawe).

Koszmar pana C.

Pan Ergo Sum nie chciał się wyróżniać z tłumu.

Bał się nawet, gdy ktoś patrzył na niego zbyt długo.

Myślał wtedy:

- Czy nie jestem brudny na twarzy, wszak przed wyjściem jadłem jajecznice?!

A może mam plamę na płaszczu?

Nie, zatrzymywanie wzroku na panu Ergo Sum doprowadzało go do rozpacz.

Właściwie to on nie chodził.

Przemykał. Niezauważony.

Pewnie dlatego pracował w wielkim wieżowcu, bo tu było mrowie ludzi

I wspaniale mógł się ukryć. Stawał się szczupły, gdy rozmawiał z kimś szczupłym,

Był blondynem, gdy przebywał w towarzystwie kogoś jasnowłosego.

Tak bardzo chciał, żeby wszyscy go lubili.

Nawet ubierał się na szaro i oczywiście nosił krawat.

Nie żeby lubił krawaty, ale nosił je tu wszyscy.

Wiedział, że to się nazywa mimikra, czy jakoś tam, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Pan Ergo Sum miał bardzo odpowiedzialną pracę: pisał różne dokumenty,

Zanosił je na różne piętra do różnych pokoi, albo wkładał do różnokolorowych segregatorów.

Nie zastanawiał się czemu to służy, bo czuł, że jego praca jest niesamowicie ważna.

Czuł się jak trybik w wielkiej maszynie i był dumny!

Wszak bez niego maszyna nie mogłaby działać! Był potrzebny!

Zasnął przy biurku pan Ergo Sum i śnił, że jest..., że jest...
Obudził się pan Cogito – wstrząsnął nim dreszcz.
Koszmar.

Ruszył, by zrobić sobie kawę z kardamonem. Musiał pomyśleć.
Za chwilę złoży wymówienie.

Pan Cogito i syryjscy uchodźcy

Wiele by dali, by przejść przez Morze Śródziemne,
które zaczęło być jak drut kolczasty.
Albo niech rozstąpią się wody jak dla Abrahama,
który przez czterdzieści lat szukał Ziemi Obiecanej
i omijał Pustynię Syryjską, i uciekał przed żołnierzami faraona.
Wytrwale wędrował w poszukiwaniu tego jedyne miejsca.
Czy Pan Cogito zobaczyłby w lustrze twarz syryjskiego chłopca
wyrzuconego przez fale na piaszczystą plażę,
gdzie jeszcze niedawno siedzieli uśmiechnięci turyści?
A może zobaczyłby islamskiego radykała
zostawiającego samochód – pułapkę
blisko zatłoczonego centrum handlowego?
Tułacze szukający miejsca,
gdzie najgłośniejszym hałasem jest wyjąca muzyka u sąsiada
i gdzie denerwuje poranne brzęczenie muchy,
która nie daje poleżeć w spokoju.

Umarli nie mogą się bronić

Oczy czerwone od wpatrywania się w stare poźółkłe gazety.
Czy słowa się spatynowały?
Nawet gdy nie mieli racji, czytasz ze spokojem rozmyślań, bez
niepotrzebnej irytacji.
Historia.

Patrzą na ciebie ci ludzie – już nie mogą nic dopowiedzieć,
nawet gdy ich słowa się przeinacza w nowoczesnych gabinetach,
przez młodych ze smartfonem w ręku,
a oni mają przecież parcie na szkło i na forse.

W marszu,
w demonstracji wymachują słowami i kurczakiem z KFC
niczym sztandarami ich dziadowie wieki temu,
Bóg – Honor – Ojczyzna nie schodzi im z ust. Przyklejone etykietki.

Kłują słowem jak bagnetem,
rozdają trujące bakalie „jednej racji”,
zaciskają żuchwy i niczym Baal rzucają fałszywymi perłami słów.
Asocjacje przywołują się same.

Umarli opowiadają historie – zecer ułożył czcionki i stały się
nieśmiertelne.
Już nic nie mogą dopowiedzieć.

Tylko czasami ktoś z wyglądu zapyziały,
doceni słowa umarłych.

Sumienie

Nie zgubili w sobie nadziei,
Chcą iść ze swoją kobietą ulicą Kanałową
I pogryzać rogalce marcińskie,
A ona uśmiecha się i szczupłą dłonią odgarnia włosy.

Naciska spust starej strzelby,
Widzi jego oczy i wie, że one zachodzą mgłą.
On upada.
- To nie człowiek, to wróg – tłumaczy sobie.
A sumienie nie chce skamienieć.

Prawe i lewe

Drzewa oblewają się pękającą tęczą.
Zasłaniam słońce rondem swojej dłoni, gdy pali zbyt mocno i oślepia cię.
Ptasia symfonia kolebie ciszę.
Szczęście idzie z nami.

Znowu ktoś stanął na poręczy mostu. Na skraju dachu.
Sny świecą pustką.
Lęk w czapce – niewidce mości sobie miejsce w kolejnej głowie.
Błada twarz jest kostiumem bólu.

Patrzę na świat z radością w jednym i smutkiem w drugim oku.
Wszak mam prawe i lewe.

W labiryncie

znowu ktoś stał ci z twarzy nadzieję
wichry splotły się w całunym uścisku
droga czarna
za zakrętem kolejny potwór
spojrzeniem przeklinasz ściany labiryntu

biała nić drży ci w spoconej ręce – śnisz pragnienie
pot wżarł się w koszulę i stare jeansy
nakłada się gorący oddech na zimno oślizłe ściany
idziesz w labiryncie

kożuch chmur przydusił monetę księżycą
niebo – jeszcze wczoraj gwiazdy prześwietlały noc
jak świeca przez jarzynową tarkę
dziś jak w gardzieli Lewiatana

labiryntem z wielkim brzuchem wędruję
gdzieś po drodze potwór się czai

Ariadna umarła zanim nić mi dała
labirynt trwa
a Minotaur wciąż żyje

Poszukiwanie

Zebrać słowa w naręcze myśli
jak wrotyczne, rumianki i chabry,
pełzające podnieść
do rangi herbacianych róż w literackim salonie,
gdzie kanapy obite pluszem,
herbata paruje zawijasami i rozpachnia powietrze,
a złoty kurz patynuje dostojną przestrzeń.

Słowa – klucze zebrane w pęki
podzwaniają, chełpią się muzycznością,
otwierają garsoniery i buduary,
dźwięczą kurantami,
szumem wiatru,
prostotą i namiętnością.

Zebrać słowa – niech pofruną jak latawce,
które czasem zrywają się z uwięzi,
grają w przestworzach;
słowa zakręcone, wirujące,
nieposkromione,
niedzisiejsze,
takie, które tylko w górze się spotyka.

Spętać słowa piórem na papierze,
przytulone jak groszki w strączku zielonym jeszcze,
słowa katedralne,
witrażowe,
przezroczyste,
moje własne – drżące, z odrobiną boskiego błękitu.

Z drzewa wierszy. Słowa szeleszczące znaczeniami

Z drzewa wierszy zawsze coś zapada w człowieka,
Siedzi okrakiem w głowie, drżą potem ręce, skrzydła się,
I oczy jakieś mgielne, letarg na codzienność się kładzie.
Tylko słowa jak pocałunek ciszy zostawiają ślad w duszy.

Z drzewa wierszy zawsze coś wpada, gdy połykam te strofy
Obce, a jakby swoje, dźwięczące myślą, rozterką i niepokojem,
Tęskne, pachnące starą ławką nad srebrzystym jeziorem,
I chmurą, i księżycem pyzatym, i przesłodzonym powojem.

Z drzewa wierszy zawsze coś spada, gdy wiatr pióra strąca frazy,
A one łążą po głowie tajemnie, kołaczą się w labiryncie myśli,
Przywdziewają obłoczne odzienia, śnią sny niewyśnione jeszcze,
Urwane, niecodzienne. Słowa szeleszczące wachlarzem znaczeń
i pragnień.

Z głową w obłokach wierszy
Zlizuję litery
Z nadgoplańskich dębów

Kłaniam się nisko motylom
Cętkom powietrznym –
Muzom poetów i włóczęgów

Moje miejsce jest w słowach
Tu znajduję księgi
Nie całkiem jeszcze odczytane

Zapuszczam wewnętrzne korzenie
W rękę trzymam pióro
I słowo

Odkrywam je
Na nowo

Młodość

Latarnia – dzwon – słowo
Maluje drogę młodym wędrowcom
Ku ludziom – ku samotni

Niezdarnie kieruje łajbą
Gotowa – niegotowa
Do wyborów

Niekształtne marzenia
Mamroczą swoje zaklęcia
Wie – nie wie

Jeden – niejeden dzień
Dzieli ją
Od celu

Niejednakowa – jednakowa
Chce być w tłumie
Życia

Niepotrzebne skreślić

Poszukiwania

Dotykam
Koniuszkiem języka
Słowa

Struna wiatru
Homera poematy
Śpiewa

Tylko mi błękit
Nieba
Skradli

Ciemność okryła
Wszystko
Całunem granatu

Jak ślepiec szukam
Swojego kosmosu
Słów

W drodze do słońca. Poszukiwania

Zapełniły się drogi i ścieżki chłopaka z rozwianą czupryną.
Szedł z plecakiem na grzbiecie, mylił drogi i ciągle wracał
Do tych słów zostawionych przez kogoś ważnego,
Zmieniał trasy, chleptał radość z czasami krzywej przyjaźni.

Szukał celu.

Czarne błoto opryskało mu ręce. Skowronek flecikiem załkał,
Otchłań gardła krzyknęła w podzięce.
Siadał na przydrożnym kamieniu pośród dziewann i łopianu
I sam do siebie coś gadał o Platonie, Sokratesie i Nietzschem.

Szukał drogi.

Łaził ze zmarszczonym czołem. W księdze gwiazd jak
W zniszczonym modlitewniku swojej babci znaczenia czytał.
Starych ludzi o coś przepytował... oni pewnie to wiedzieli.
Z losem droczył się i igrał, z okien wrywał kraty.

Szukał czegoś więcej.
Sensu.

Fascynacje kreską



1965

Z Nokturnu cis-moll Fryderyka Chopina

Uparcie wspinał się po drabinie nieba, wreszcie zawisł – księżyc
jakby wycięty z arkusika
srebrnego papieru.

Błyszczące drobniaki wysypały się na granatową płachtę nocy.
Święto świeczek – drgająca, migotliwa czereda.

Drewniały czas, ciemność chybotwała niezmiennie.
Nokturn czaił się w najgłębszych warstwach powietrza.
Suchy badyl skrzypiał i dziurawił kwaśny liść szczawiu.

Kołysały się drapowane wiatrem gałęzie.
Dygotały zarannym chłodem liście.
Nieliczne struny jasności zaczynały z cicha grać kołysankę.

Powoli nabrzmiewała muzyka wachlarzem światła,
Pianą karmiły się dźwięki, rosły,
i pękały.
Zagładały wrzosom w ametystowe oka.

Koń kopytem rysował rytm.
Wędrowały po mchu mokrym pachnące sosnami,
owadami brzęczało powietrze słońcem nagrzane.
Synkopy stukały wierszem.

Gdzieś między słojami drewna
i w strukturze kamienia rzeźbiła się tajemnica dźwięku,
zawieszono między skrzypieniem gałęzi,
wyciem wiatru, przytuleniem i szlochem kobiety.

Majorka. Z fortepianem w tle

Pauzami kolebią się cienie Majorki – wczesne świty i rozgrzane po kres pejzaże,
trawy w kolorze ochry
i cyprysy ulatujące do bezchmurnego nieba bez błękitu Turnbulla –
zda się
malarz zapomniał nanieść pędzlem poszarpane cirrusy, pęczki waty
obłoków
albo brudną materię stratusów.

Piszą się w głowie nuty przetykane prośbą o oddech i kaszlem
rozrywającym płuca.
Morze wygładza kryształ,
łażą fale po zamokłym piachu z niedbale rozrzuconymi muszlami,
wiercą się nieme kamienie.

Imaginacja podpowiada mi obraz – uśmiechnięta kobieta trzyma jego
rękę,
zagląda w oczy,
znowu wylewa się nadzieja.
Nie chce pamiętać zeszłej nocy, słów cierpkich, urwanych krzyków,
szlochów
i lamentów.

Powiał wiatr – ruchoma ozdoba każdej próby poznania wszelakich
kształtów,
zapachów,
dźwięków schowanych we wnętrzach,
a one składają się w maki, chabry i kąkole – cętki naniesione dłonią
wytrawnego artysty
jak dotknięcie klawiszy czarnych i białych.

Dziewczyna o szaroszmaragdowych oczach

Nie pytaj o życie, zapytaj o miłość
Halina Poświatowska

Widziała więcej ta dziewczyna o zielonych oczach kota,
O jaśminowej twarzy z angielskie porcelany.
Drżało chorobą jej poezjokształtne serce,
Stęsknione do życia.

Potrafiła uchwycić w słowach liść klonu, który spadając rzeźbił
powietrze,
Esy-floresy rysowane jaskółczym ogonem w gonitwie wieczornej przed
deszczem,
Umiała odnaleźć szczęście w najdrobniejszym słowie
I geście.

Wpadła do nas na jedną ziemską chwilę ze swoimi poezjokształtnymi
dłońmi,
A w nich mieściło się tak dużo czułości!
Dziewczyna, która kochała nieprzytomnie ludzi
I słowa,
I te słowa składała w wiersze...

A w głowie kręciły się niepokoje i wątpliwości;
Czy nie stłucze się to jej wrażliwe serce,
Czy wiersze są dobre i mądre...
Dziewczyny o poezjopiękną duszy i twarzy niczym z rysunków
zdobiących
angielską porcelanę.

Czarny ptak snu czasami mącił radość życia,
Pustkę wypełniali ludzie – ich słowa dodawały otuchy, pobudzały do
pracy serce,
Rodziły komety z ciepłymi warkoczami nadziei.

Uciekała w miłość przed wiecznością –
W czyjeś myśli,
W czyjeś ramiona,
W czyjeś spojrzenia, w oddechy, w rytmy wiersza.

Szumi wiatr, który targał jej włosy,
Gra na strunach furkoczącej sukienki z perkalu w zielone kropki,
Gładzi twarze z leciutkim westchnieniem.
Uśmiechnięta poezjotwórczo dziewczyno nie smuć się,
Twoim istnieniem są wiersze.

A wargi znowu są sine.

inspirowany obrazem „Drzewo życia” pędzla Gustava Klimta

Złotem wyciętym z ikony wije się na ścianie Pałacu Stocleta,
Przepychem drgają gałęzie.

Jakże przyjemne jest jedzenie w towarzystwie egzotycznych
strażniczek!

Kobiety karmiące,

Kobiety dające życie,

Kobiety pilnujące domowego ogniska...

Życie – pełne powabów, przyziemne i wzniosłe, karmione chlebem i
poezją,

Tak bardzo ludzkie, czasem nawet błogosławione, święte i boskie.

Tylko potem ze złotego tła z wyszukаныmi kształtami z obrazu Klimta
Odrywa się czarny ptak.

inspirowany obrazem „Droga do Middelharnis” pędzła Meindert Hobbema

szeptales do siebie słowa
gorące od piasku z tej drogi do Middelharnis

to nieprawda
niebo nie było wtedy pokryte obłokami jak z waty

pełno było robactwa
mucha brzęczała – to brzęczenie się ryło karbem na tkankach ciszy

opędzałeś się
i nie mogłeś już myśleć o żółcieniach cyjanie i błękicie Turnbulla

wiedły zmęczone gorącem myśli
czarne plamki wirowały ci w głowie od patrzenia na słońce

spierzchniętymi wargami
rozgryzałeś wspomnienia soczystych jabłek

nadaremno zgadywać cel wędrówki – niejasny
czeka na cię dzban wina mięsa w otoczce estragonu i czosnku

piach zasypał ślady
jak te w jego pamięci

Panny z ulicy d'Avinyo. Inspiracja obrazem pędzla Pabla Picassa

Barcelona pachnie waszymi ciałami rozdającymi miłość.
Bierze je każdy mężczyzna
Swoimi brudnymi rękoma, które przesiąkły rybami
złowionymi w Zatoce San Jorge.

Podają czasem swoim klientom wprost do ust winogrono,
Gdyby zabrakło czułości;
Albo kawałek arbuza, ociekającej sokiem gruszki,
Jabłka prosto z raju.

Ich twarze wołają: – Mój rycerzu, kim chcesz, żebym była?
Dziką i namiętną? Niewinną?
Ja to wszystko spełnię za dodatkową opłatą! Tylko wybierz mnie –
Ochoczą dziewczynę z ulicy d'Avinyo.

inspirowany obrazem Vermeera „Mleczarka”

Kobietę w białym czepku
spod którego nie wysuwają się gładko uczesane włosy,
w skupieniu przelewasz ciekłą strużką mleko do kamiennego garnka.
Gliniany dzban – pękaty, skrywa biel w swych czeluściach,
miodowy kaftan i fartuch mnożący się fałdami –
ogrom materii gra światłocieniem. Nazywają cię Mleczarką.
W koszu chleb z popękana skórka, powietrze chrząści rozgryzonymi
ziarnami,
pędzi czas z domieszką codzienności, połykają pajdy z mlekiem.
Nieskrępowane zadowolenie – nielimitowane mlaśnięcia pacholąt.
Potwierdza się domniemanie
o dobroci zwyczajnego śniadania

inspirowany obrazem „Peasant Girl Drinking her Coffee” pędzła Camille’a Pissarra

Za oknem koncert na barwy wiosny
Zapachy zielenią chlorofilem zdeptanej trawy
Końskie kopyta rytują z zapalem ziemię
Słońce kołysze strzeliste gałęzie promieni w strumieniu
Co jak wijąca się dżdżownica łaskocze ciszę
A ona ma chwilę wytchnienia – parzy kawę smolisto czarną i słodką
Co pachnie kardamonem
Zaraz to płynne dzieło sztuki dotknie jej usta

Bukiet fiołków i kosz wiśni przyniósł jej ten chłopak
Rozwiczrzona czupryna pachniała rumiankami
Zmętniały szczęściem błękitne oczy
Spąsowiały krwią ich policzki
Rytm spojrzeń rysował jak uśmiechem napełniały się wargi
Reweranse szeptane niepewnie supłały ich języki
Żółty wazon nakarmił wodą fiołki

Uładziła czarne włosy niesforne wymykające się z koka
Zawiesiła wzrok w zawołowanej kwieciami przestrzeni
Marzenia nawijała na szpulę dziewczęcej pamięci
Rozlewało się ciepło nienazwane
Nanizane uśmiechy czereśnie fiołki kawa i wiosna
Biały koń błyskający srebrem grzbietu i brzucha
Wemknęły się i zawładnęły

Obrazy zatrzymane w stop-klatce myśli zespały się w szczęście

W muzeum

inspirowany obrazem „Czytająca piękność” Leona Francoisa Comerre’a

Ukarminowane usta jeszcze przed chwilą szczebiotały o wiośnie,
A włosy kołysały się na wietrze
I lekko dotykały przesiąkniętego kwiatami powietrza.
Słowa sonetu śpiewały jak słowiki,
Podrywały serce do wzruszeń,
Rozmarzyły cię, rozteściły wyobraźnię, roztrzepotały duszę.
Czytasz o miłości i spoglądasz na nadchodzącego mężczyznę.
Intryguje cię jego lniana, nieskazitelnie biała koszula
I łagodne spojrzenie niebieskich, marzycielskich oczu.
A to jestem ja i właśnie patrzę na ciebie.

inspirowany obrazem pędzla Aleksandra Gieryskiego „Pomarańczarka”

Stara Żydówko o tabaczkowej cerze, co patrzysz zmęczona na artystę,
Idź i sprzedaj swoje pomarańcze, niechaj kosze będą wreszcie puste.
Zmęczone ciało złóż na łóżku – należy ci się przecież odpoczynek!
Daj wytchnienie dłoniom, niech szydełko nie biega między oczkami
przędzy.

Stara Żydówko o tabaczkowej cerze, co patrzysz na mnie smutno,
Nie potrafisz przewidzieć, co stanie się za lat dziesięć, albo po prostu
jutro.
Spleciesz warkocz z brązowych włosów, co wije się wokół twarzy,
Pójdiesz na Kiercelak, z karmelkiem w wyschłych ustach, między
handlarzy.

Stara Żydówko o tabaczkowej cerze, okutana spłowiałą czerwoną
chustą,
Sprzedałaś swoje złote kolczyki dla kogoś, kogo kochałaś... Ciężko
i smutno
Być teraz samą, szczególnie, gdy jest się starą Żydówką o tabaczkowej
twarzy,
Która nie walczy z losem, świętuje szabas, czasem nieśmiało o czymś
marzy...

inspirowany obrazem Józefa Chełmońskiego „Babie lato”

Odgryzała spore kęsy sera zawiniętego w chrzanowe liście
Urywała kawałki chleba
Wypieczona skórka strzelała okruchami
Pulchne wargi wylewały się uśmiechem na pulchnym zaróżowionym
obliczu

– Dlaczegożby nie odpocząć? – pomyślała
Pies-stróż przepatrywał przestrzeń
Nieciosa się w niej jakaś niemoc
Kostur wysunął się z pulchnej dłoni wszystko było w niej pulchne

Wzdymały się fałdy lnianej sukienki
Nierychło zsunęła się z głowy materia żółtej chustki
Kiedy legła w odpoczynku
Dając wytchnienie brudnym nogom z resztkami tłustej ukraińskiej
ziemi

I tylko szare niebo i ciemna ziemia spletały się w uścisku
Ręką łapała nitki babiego lata
Wylewał się spokój leniły tkanki powietrza
Przecinane odległymi odgłosami przepędzanego bydła

inspirowany obrazem pędzla Amedeo Modiglianiego „Kobieta w kapeluszu”

Ten smutek co skrył się w niebieskich oczach tej kobiety ze zbyt długą
szyją
Rysował powagę jednym zdecydowanym pociągnięciem kreski
Nie bawił się plamkami impresjonistów
Pachniał wierszami Jesienina
Jadalnymi kasztanami
Subtelnością
Pozorną obojętnością
Migdałowych oczu wyciętych z płachty nieba
Wydłużał twarz i układał poważnie usta pełne namiętności
Kładł się cieniem na smukłych ramionach pięknej kobiety w czarnym
kapeluszu

„Kobieta z perłą” pędzla Camille’a Corota

Przed chwilą jakby wołała: – Spójrzcie na mnie! Skakała i kręciła baletne piruety, bo chłopak z rozwianą czupryną wyznał jej miłość.

A teraz skromnie spuszcza oczy, gdy on chce ją malować.

Te oczy o barwie łupiny orzecha polanej roztopioną, błyszczącą czekoladą

i ta skóra batystowa i gładka, nawet maleńkiego pryszczka nie uświadczysz.

Włosy już zdążyła ręką przygładzić, znalazła na ich niesforność sposób.

Przyjmując pozę pomyślała: – Może to on zapewni mi nieśmiertelność?

I złożyła ręce w geście Mony Lisy. Szczuplejsze i z pierścionkiem.

– Piękną Pan sobie wybrał, Corot, oj piękną, niewiastę z perłą.

inspirowany obrazem „Zuzanna i starcy” Giovanni’ego Battisty Tiepolo

Wyciągają starcze dłonie jak szpony
dotykają ją i oblizują wzrokiem śnieżnobiałe ciało
z zabłąkaną kropelką wody na dolnej wardze
i te klejnoty zawarte w wyciągniętej szponiastej ręce
obiecują coś za coś

pomarszczone twarze z doklejoną brodą mędrca
świdrujące spojrzenia na kobietę z długimi włosami
a ona widzi tylko Joakima ociekającego wodą
między nitkami mięśni zlewają się naskórne ruczaje
i chciało by się być kroplą wody na jego czerwonych ustach
a ci tu...

starcy z poźółkłymi zębami
z klejnotami zawartymi w szpiczastej dłoni
już nikt nie chce głaskać ich pomarszczonej twarzy
z czarnymi plamami
a po brodzie łążą muszki i robaczki spadłe z liści
i nie mają srebrnej kropli na wardze
tylko kroplę spienionej śliny...

inspirowany obrazem „Kobieta w oknie” Caspara Davida Friedricha

Kołysze fałdami zielonego aksamitu
Staje w oknie
Dla niego
Wiatr poruszy niesforne kosmyki uciekające z koka
Roześmieją się oczy tęskniące
Rozbłysną tęczówkami oblanymi błyszczącą czekoladą
I będzie zbliżał się zamyślony pachnący morzem i słońcą wodą
Pomacha
Świat znowu nabierze subtelności
Chmura z głową ptaka przepłynie jak statek wypuszczony na pełne
morze
Rozdyma się zieleń
Kroplami wody załśni
I nie zaglądały mu w oczy dziewczęta z portu
I nie kuszą dekolami w krzykliwych sukniach
Nie dla niego kołyszą biodrami te kobiety rozigrane cielesne
Raczą się rumem i śmieją rozgorączkowane
Rozgrzeszone trunkiem
Czasami urządzają pyskówki
Już nie raz to widziała i wstyd jej było
Bardzo
A teraz znowu stoi w oknie
Dla niego

inspirowany obrazem „Bal w Moulin de la Gallette” Augusta Renoira

Plamy, plamki migoczą, rozmawiają ze sobą, grają w chowanego,
pędzlem liści, kolorem słońca malują ulotne, napowietrzne obrazy,
drżą czerwone kwiaty w pachnących włosach,
utrefionych zręcznymi palcami pięknych kobiet.
Tylko niesforne kosmyki łaskoczą żartobliwie,
rozochoczone zabawą ze słońcem heblowane tkanki powietrza.
A oni siedzą i rozmawiają – patrzą w swoje roześmiane oczy z iskierkami,
które kwitną, skrzą się, wyskakują niczym te uwięzione w sztucznych
ogniach.
I te ręce przyjacielsko opasujące czyjeś, wciąż głodne uścisku, ramiona,
i te przytulenia w morzu głów i słomkowych kapeluszy,
i te ławki słuchające wyznań, ciepłych opowieści i rozumnego milczenia
niepozbanionego radości i treści, miłości, radości i treści, miłości...
i ta kawa z kardamonem i pieczone kasztany mączyste w papierowym rożku.
Kłaczki promieni zażółcają przestrzeń, wiatr pogrywa na klawiszach liści.
Patrzę na nich jak zaczarowany. Stoję wciąż, bo za nogi coś mnie trzyma.
Jakaś tańcząca para mnie zauważyła. Uśmiecham się do nich całym sobą.
Patrzę na mnie. Ja urzeczony na nich. Przecież jestem na wystawie.

inspirowany obrazem Józefa Czapskiego „Żółta chmura”

Pokazuję ci niebo, a ty widzisz tylko zimny błękit.
Nie głaszczesz,
tylko chłoszczesz słowami i rozrywasz te kruche więzi,
które połączyły nas jak cierpliwie ugniatana plastelina.

Namaluję ci żółtą chmurę,
niech uśmiechnie się do ciebie nawet powietrze.

W starej chacie obrosłej tajemniczo zielonym winem,
liczysz bale z labiryntami korników,
wzdragasz się na widok każdej pajęczyny
i ze wstrętem na wszystko patrzysz.

Namaluję ci żółtą chmurę,
niech uśmiechnie się do ciebie nawet powietrze.

Na obrazie widzisz grudkę brązowej gliny,
a ja przycupniętego wróbelka,
nie chcesz zgadywać, co jest za horyzontem,
a żółta ziemia to nie jest łąk pachnącego łąbinu,
tylko zwykła malarska głupota.

Musisz sobie sama namalować żółtą chmurę,
bo tylko wtedy naprawdę uśmiechniesz się sama do siebie,
a potem uśmiechnie się do ciebie nawet powietrze.

Przed Sądem Ostatecznym – „Czterej Jeźdźcy Apokalipsy”

Zapisał święty Jan te słowa w swojej Apokalipsie,
Wychudły koń, ten biały koń z Księgi Objawienia
I siedzi na nim jeździec z łukiem, na głowie ma koronę,
Zasypie świat strzałami zła, wybierze dobrą porę.
Czy sam Antychryst na nim gna, czy ludzkie przeznaczenie?

A drugi jeździec przestrzeń tnie, ognisty rumak rwie z kopyta,
W dłoni dzierży wielki miecz, aż strach za gardło chwytą.
Nie będzie już pokoju, nie, dla ludzi i dla świata.
Będziecie się zabijać wszem, syn ojca, a brat brata.
Czy sam Antychryst na nim gna, czy ludzkie przeznaczenie?

A trzeci jeździec na karym koniu wagę ma w prawej dłoni,
Kto przetrwa wojny krwawe razy, o chleb będzie się modlił.
Za miarkę ziaren, złota dasz tyle, co zmieścisz w garściach,
Głód i zaraza rozsiądą się na twoich chudych barkach.
Czy sam Antychryst na nim gna, czy ludzkie przeznaczenie?

Na siwym koniu siedzi śmierć, piekło jeździec rozpościera,
Nie zna litości także on, tratując wszystko wokoło,
Nie czuje łaski dla ludzkich próśb, zwierzę człowieka pożera.
Końskie kopyta kłusują ciała, skręcona twarz krzykiem woła.
Czy sam Antychryst na nim gna, czy ludzkie przeznaczenie?

„Czterej jeźdźcy Apokalipsy”. Fascynacja kreską Albrechta Dürera

Laur wieńczy skronie, w ręku partyjski łuk,
Przed białym koniem Zwycięzcy ulegnie każdy wróg.
Kopyta miażdżą głowy, krew płynie strumieniem pod głazem,
A jeźdźcem tym jestem ja, ja – Chrystus i szatan zarazem.

Anioł gra na trwozę, pożoga jest i płomienie,
Ognisty to koń Wojny odbiera ludziom istnienie.
Miecz ścina żywym dusze, uderza konia w zad płazem,
A jeźdźcem tym jestem ja, ja – Chrystus i szatan zarazem.

Z następnej pieczęci Baranka nicość i bieda zionęła,
I Głód na czarnym koniu wy dostał się z więzienia.
Waga powiewa na wietrze, śmiertelni mrą z głodu razem,
A jeźdźcem tym jestem ja, ja – Chrystus i szatan zarazem.

Stary chudzielec z trójzębem, z długimi nogami eunucha,
Na koniu z którym jak z jeźdźcem, tańczy śmiertelna kostucha.
Otchłań polyka grzesznych, straszy Bestii obrazem,
A jeźdźcem tym jestem ja, ja – Chrystus i szatan zarazem.

inspirowany ilustracjami A.E. Andriollego do „Pana Tadeusza”

To spotkanie zniecka, a jakby długo czekane, niepewne, budzące do życia.

Wyszeptła je wprzódy słonecznikom jak ułani smukłym,
Gdy plotła wianki na głowę z powojów, gryki i rumianów białych,
A kwiecie tak pachniało i owady wabiło, przysiadły motyle ze skrzydeł
aksamitem,
Znęcone słodyczą nektaru, co wylewał się, wabił, obiecywał wiele.
– Zosiu, uspokój swoje łopoczące serce! Młodzieniec zachwyca się tobą!
Wejrzyj w jego twarz pogodną i wyczytaj, sekrety wyczytaj!
Fałdy sukni chyboczą, wiją się od spieszego oddechu i spuszczonej
oczu.

Podnosi rękę obciążniętą mleczną skórą,
Sypie ziarno.
Uwijają się, przepychają, jedno przez drugie chce do brzucha jak najwięcej
zgarnąć.
Pałętają się pod nogami kaczki, kury i indyki.
Dziewczęce serce drży, uśmiech pełga na zamysłonej twarzyczce,
Cienie grają w zajączki. Strzępki pajęczyn kołyszają się na liściu,
Omiała dłonią lico z niewidzialnych paprochów i z łaskoczących
kosmyków.
Gospodarstwa wnet się wyuczy.

Poranne słońce zachwytem się kładzie w atlasowych trzewiakach i sukni
batystowej,
Fala falę tkaniny goni, perli się powabem młodej kobiety,
Pachną rumieńce marzeniami, pragną czegoś więcej.
Zawijają się obrazy w księgi żywota, sama w ukryciu serca je rozwija,
Tęskni i wstydzi się tych tęsknot, ożywia je i zabija.
Odgadnie li Tadeusz, dla kogóż te stroje warszawskie?
Okrećła się Zosia, wypełnił się pokój najbielszą paniąską bielą,

Pokłoniła się młodzieńcom i starcom jej tylko widzialnym.

Już siebie widzi z Tadeuszem, już poloneza z Podkomorzym tańczy,
Na rękach dziecię trzyma, wskazówki szaleją na zegara tarczy, kuranty
wygrywają mazurka.

inspirowany obrazem „Bankier z żoną” Quentina Massysa

Modliła się,
Wydawała światu spojrzenia w górę, ku niebiosom wzniesione,
Prosiła o zdrowie i życie wieczne.
I wypominała sama sobie grzechy i słabostki,
I winiła się srodze.
A zjedzenie mięsa w piątek było chyba największą z nich.
(Według niej).
W końcu stateczna z niej niewiasta
I wielce rozmodlona – przecież czytała Biblię już nie raz.
Ta idealna kobieta nie pokazująca się nikomu bez czepka,
Ze schowanymi włosami, które tylko mąż mógł oglądać.
Z gołą głową chodzą tylko ladacznice z portu,
A przecież ona to wzór cnót.

Jakże szybko odłożyła Biblię,
Jej wzrok przyciągnęły refleksy metalu i cichy brzęk.
Lubiła ten odgłos.
Lubiła razem z mężem liczyć i mieć w ręku metalowe krążki,
I cieszyć się nimi bez końca.
Już nic nie wydawało się straszne.
Wszystko można było kupić.
Wszystko.
Zafascynowana wpatrywała się w nie – ta rozmodlona kobieta
Z włosami skromnie schowanymi pod czepkiem.
Przecież modliła się o nie i jej modły zostały wysłuchane.

„Powrót syna marnotrawnego” Rembrandta

Wracam
codziennie
z wojny
myśli.
Z ranami.
Ledwo żywy.

Przyklękam, prosząc o przygarnięcie.

Nie roztrwoiłem majątku – talentu,
nie zabijaj dla mnie
utuczonego cielęcia.

Tylko wyciągnij ręce i powiedz:
– Cicho już, moje dziecko.
– Cicho...

A jutro
znów
muszę
pójść
na wojnę
myśli.

inspirowany obrazem Georgia de Chirica „Melancholia ulicy”

cień człowieka idzie opustoszałą ulicą
został cień szczęśliwej dziewczynki
pędzącej z kijem i obręczą
skulone człowieczeństwo
rozpacza chce być widzialna
brakiem ciała
okaleczeni wojną ludzie
w tym świecie z idealnie ukształtowanymi domami
gdzie wszystko pozostało piękne
oprócz człowieka

Ty dajesz mi myśli,
które na przekór wszystkiemu świecą



Dwoje w kawiarni

Ukradkiem zerkasz na zegarek wiszący nad barem,
Miętosisz w dłoniach serwetkę.

Pastelowe myśli już dawno przestały się kręcić wokół twojej głowy.
Jak mu powiedzieć – zastanawiasz się.

Turlają się wspomnienia – kwitnąca wiśnia, gdy razem smakowaliście
zapach,
Pierwsza kłótnia,
Urwane kawałki codzienności,
Noc ze spadającymi gwiazdami...

Łowisz banały. Jeszcze niedawno je lubiłaś.

To koniec. Bez ciebie jestem pół.

Nadzieja

Ciemny dzień wlecze się pustką połyka kontury domów i drzew
Poskręcane ciernie
Kłują
Siność obleka materię świata

Zagnieżdżyła się we mnie słabość
Znowu czuję w sercu zagniecenia

Ty dajesz mi myśli które na przekór wszystkiemu świecą
Anioły powietrzne malują skrzydłami
Kręgi

Stygnie dzień
Szarość studzi głosy ptaków przytulonych w gnieździe

Otwiera się nadzieja

Jesteś mgłą
Rozpływasz się każdego poranka

Kwiat pomarańczy trzymasz w szklanej dłoni

Opowiadasz deszcz
Krople które oplatają poskręcane gałęzie
Rzęsy wygięte w łuk tęczy

Zegarek gubi czas
Zbieram twoje spojrzenia okryte srebrnym pyłem gwiazd
Karmię słońcem
Pąki przyszłości

Wracasz wieczorem mgłą i rosą
Jestem przepełniony spokojem

codziennosc

zbiera okruchy porannej kawy popijanej pospiesznie
sparzenia ust
zamyślenia
odgania złe myśli ręką ze starannie przyciętymi paznokciami
głaszcze jej profil który został w lustrze

ściany ściskają go coraz bardziej
dlatego ucieka
a zieleń w żółć coraz bardziej się zmienia
i skrwawia codzienne przedmioty

spieszy się czas
tyka kolorem dojrzewających liści
rozpada się kolejne puste gniazdo
pozory błąkają się w głowie
pragnienia wyłazą poza garnitur i dyplomatkę

dzisiaj znów samotnie zje kolację

Opowiedz mi sen
Miłosne westchnienie nocy
Gdy twoja twarz zabarwiona rozmarzeniem
Z gorejącymi oczami
Śni się wciąż
Kołysze
Potem rozrywa myśli sklejone realizmem dnia
Objaśnij mi ruch twoich rąk
Szcupłe palce
Kostki z równoległymi liniami
Powagi
Tylko w paznokciach skrzy się gwiazda
Mruga srebrną iskrą

Kawa w porcelanowym kubku pachnie wanilią
Spienione mleko
Łaskocze twoje usta
Moje serce

Pożegnalna kawa
Łamię przestrzeń
Pękają tkanki powietrza

Odchodzisz

Krwawi róża w zielonej butelce
Na kawiarnianym stoliku rozstań

Ktoś zamknął okno
Zatrzasnął

Zielone orzechy

Orzechy ledwo zrzuciły płaszcze swe zielone,
Gdy spadając kreśliły proste linie w powietrzu przesiąkniętym
antocyjanami,
Mknęły jak ciężkie kule wystrzelone z gałęzi,
trzepotały się liście podrażnione w locie.

Ty szukałaś ich w trawie;
zbierałaś do kieszeni,
Gdzie gruchotały po cichu ich wilgotne jeszcze sukienki.
Miałaś brązowe opuszki – delikatne palce pachniały goryczką.

Rozbijałaś skorupki dla białego wnętrza.
Pomagałem ci zrywać aksamit białych skórek, odejmowałem goryczkę,
By twe usta posiadały smakowite półkule.

Chrupałaś te orzechy świeżozjesiennie,ale,
Biel z bielą zębów mieszała się czule.
I śmiałaś się radośnie,
I ścieliła się brązowymi łupinami jesień rozkwitła pewnym
popołudniem.

W nocy

Na ciemnej ścianie nocy rozkwitłej kroplami gwiazd,
Stary surdut rozwinął kościsty wicher i szarpał raz po raz.
W kółko kręciły się kłęby zapachu konwalii i bzu,
Świeciły robaczki świętojańskie tam i tu, i tam i tu...
I miłośnie było i rosiście, romantycznie, sonetowo, trochę strasznie...
Marzenia mnie objęły, rozżęskniły i szeptały: - Już nie zaśniesz...
Podrzucały jak kukułki jakieś wizje. (Czasem nawet nazbyt śmiałe!)
Jakże spać, gdy wszystko takie inne, nowe... i już pochrapywałem.

Koncha

Grudka jantaru z zatopionym szumem ciężkich fal – ciepła i miodna.
Spojrzenia rybaków spadają na kobietę
o bosych stopach. Wyciągnięte
łódki ryją piach.
Nadęte, pyszne

meduzy. Sieci wyciągnięte na brzeg cuchną morzem i rybami.
Furkoczą para opalonych dziewczyn, na morze składają się lśnienia.
Cienie wylegają się na plaży, pożerają bursztynowość.
Koncha –

dałem ci ją na szczęście. Stałość materii jak stałość nas,
gdy buszowało wokół powietrze
spragnione ozonu, rozwarstwione, szczękające zębami pioruna.
Obśliniały

przestrzeń spadające na nas jęczory. Drżały chwile i nasze dłonie.
Płaszcz wody kulii świat. Alabastrowiała koncha w uścisku.
Onegdaj byliśmy tu razem. Zarosły mułem nasze
twarze.

SMS. Morze.

Pragnienie nędzarza uzależnionego od szukania zasięgu

Przemierzam morze. W poświacie księżycy
Fale falują pragnieniem kołysania. Niezmiennosc
Jak mała dziewczynka skacze. Tylko ja otępiały
Pragnę uśmiechu w rozpacz. Wyężam wzrok

By ciebie zobaczyć w chybotaniu bioder fali. Czy
Czekasz na mnie wieczorem, o świcie? Tylko ta
Cisza odwieczna skręca się z nudów. Tu echo
Nie mieszka. Krzyczę twoje imię. Na wietrze

Niosą się wspomnienia. Jak szpicruta kłują
Policzek i serce. Boli mnie przestrzeń
I szamotanina z upiornym czasem. Opasywałaś
Naówczas mnie, słoną wodą ciekącego, nędzarza.

Znowu nie mam zasięgu. Nie spływają z satelity
Upragnione słowa. Klawiaturze – powiernicy
Wyszeptalaś, że mnie już nie kochasz. Czekam
Z oczami czerwonymi, może to wszystko odwołasz.

Misterium wody

Wieczór ślizga się księżycem po falach,
Gałąnkami chmur przysłaniając bezkres,
modli się nad brzegiem młoda kobieta,
przebija wzrokiem szczerwieniłą przestrzeń.

Przestrzeń bez punktu, leniwa, kłuje w oczy,
Powracają wspomnienia: pajdy chleba
I pieczone ryby z mięsem oddzielającym się od ości.
W milczeniu pochłaniali jedzenie, a wieczór stygł.

I pławili się w sobie otchłannie zielonymi oczami,
Bose stopy rzeźbiły w mokrym piasku ulotne historie,
Rozścielało się resztkami róży i purpury, migało
Zachodzące na wodnym horyzoncie słońce.

Opowieści szeptały się szumem garbatych fal,
Morze wyrzucało rąbki swoich tajemnic – wodorosty,
Bursztyny i kawałki wybielonego, gładkiego drewna.
Kamienie topiły się raz po raz. Szeptały i krzyczały fale.

Znała to uczucie tęsknoty i to morze zachłanne,
Nienasycone, które połyka wszystko i nigdy się nie spieszy,
Nawet gdy fale biją o brzeg jak rozjuszone, wściekłe byki.
Znała to morze. Nieoswojone. Kradnące bez skrupulów jak złodziej.

Stary. W tawernie. Wspomnienia

To on włóczył się po spelunkach,
nadmorskim tawernom nadawał imiona kobiet,
kiedy z fajką w zębach pykał,
a dym wił się w miłosnym tańcu brzucha.
Lgnęły do niego.
Wyzłoczone uśmiechem zęby przywoływały je.
Lało się wino i dobra zabawa
w tych miejscach pachnących makrelą i dorszem.
Teraz już nie wkłada spoconych banknotów
w nazbyt duży dekolt sukien
i nie czuje przyspieszonego bicia kobiecego serca,
i szerokiego uśmiechu szczęściary,
która uśmiechnęłaby się nawet do bezzębego,
uślinionego starca,
byleby brudny,
włożony przepoconą ręką,
banknot dostać.
Rzadkie włosy, wystrzępione latami, spadają na kościste ramiona.
Przymglone spojrzenie zapijaczonych oczu mu zostało.
Twarz ma barwę spróchniałego drewna
polanego brudną wodą z koryta,
z którego żadne zwierzę nie piło od lata.
Marszczy się skóra jak skiby nierówno odkrojone niewprawną ręką
oracza.
Pożółkłe palce,
zbrązowiałe opuszki przytrzymują peta,
który za chwilę przyklei się do starczej wargi.
Omijają go łukiem upudrowane kobiety w sukniach z dużym
dekoltem.

Okno

Widok czai się w oknie – kobieta suknią szeleści,
brudne okna – zasłona,
nie dostrzegam
szczegółów,
twarz trupioblada czy mi się tylko zdaje?

Rude włosy to płomień, co wylewa się z nocy,
gdyśmy razem stąd uciekali; niepozorne
marzenia snuły się mgłą,
komuś chrzęściły
niczym w zębach drobinki piasku.

Chroboczą obcasy na zwirowanych alejkach,
skrada się cień – kołysze,
przemyka między drzewami,
rudy płomyk wiąże niepokojem ciszę,
drgają żywiczne skrzydła dorodnych świerków.

Oglądam okna co płoną,
swąd wdziera się do nosa i drażni,
rude włosy jeszcze bardziej płomienne,
brudne szyby pękają,
kobieta suknią szeleści.

Twarz trupioblada czy mi się tylko zdaje?

Po twojej stronie świata. Drzenie

Trawa seledynem igrała z promieniem
I kruszyły się słowa obłokiem pisane.
Spadłe ptaki – umarłe leżały pod krzakiem,
Kwitła kalina, biel śnieżnie się rozdymała.

Przestraszona jaszczurka gubi jaszczurzy ogon,
Łopoczą liście, płatki maków, kłosa wyzierające nieśmiało,
Anioł bieszczadzki w postrzępionej muślinowej sukience
Spija krople schłodzonej rosy perlące się nad potokiem.

Czułe więzy trzymają mnie z tą ziemią,
Kolorem głogów i jarzębin drżą moje słowa,
Ikona pisana złotem i czerwienią śpiewa,
Podmuchami skrzeczenia sroki drży przestrzeń.

I kurczy się czas, spróchniałym pniem pali powietrze.
Skulone serce urosło krokusem i zawilcem
Niedźwiedź zamruczał sennie w gawrze.
I spotkaliśmy się znowu w górach – po twojej stronie świata.

Łza

W twoim oku łza posrebrzysta,
z odbitymi splotami miłości.
Dłonią zgarniasz zamyślenia, zamarzenia,
w rozastrowanych jesiennych fioletościach.

Łza – kroplista wydzielina rosy,
smagana wiatrem wieczności,
biczem młodzięcych rozterek,
dźwięcząca muzyką smutku.

Cienie rzęs patynują gwiazdorzenie oczu,
skrzypcami wiatru kleją nuty spojrzeń w rapsodie.
Błękitnieją, zielenieją nasze spojrzenia,
wywracają strugę pędzącego czasu.

w zimowych nastrojach.

porcelanowe szeptania miłości ze świerczaną gałązką w tle

jej dłonie jak powoje oplatały filiżankę
biel porcelany przenikał przez szczupłe palce i rozświetlał przestrzeń
światło buszowało w srebrnych esach – floresach na obrzeżach talerzy
i talerzyków
plątały się białe wstęgi atlasu przysypane brokatowymi gwiazdkami
ażurowe serwety ocieplały tkanek szklanej tafli zimowego stołu
kłaczkę wzruszeń pełgały między łykami herbaty pachnącej cytryną
która tańczyła w dźwięczącej filiżance
zaplatają się iskry ocieplające srebrzyste sztucce
woalka talerzyka tkanek porcelaną i srebrem pachniała cynamonem
kardamon zawisł w powietrzu
pęczki goździkowej woni patynują przestrzeń
dzielili się miłością
rodziło się w nich ciepło niczym w czeluściach herbacianego dzbanka
świerczana gałązka oddawała światu żywiczne wonie

W Pińczowie. Prolongata pamiętania

pińczowskie obrazy odbijają się w lustrze wspomnień
żydówka Estera o błyszczących oczach
co pracowała w fabryce sukna Rosenberga
i te dolki w policzkach
a chłopak z farbiarni Berensteina wypatrywał oczy
czarne oczy błyszczące czekoladą i te iskierki zapalone jak chochliki
poplamione spodnie
nie ochronił ich zbyt obszerny fartuch
kołysały się odgarniane brudną ręką pejsy
wymykające się spod czarnej zniszczonej jarmułki
szabat drgał świecami modlitwami śpiewanymi i kidusz
pogryzał macę i koszerny czulent zrobiony przez mamę
rabin czytał Torę i wodził jadem by nie dotknąć zwojów świętej księgi
suknia Estery falowała fałdami – aksamit zielony pełgał czasem
zmęczone powieki tkwały obrazy zamarzone
kurz się kłębił zmywała go Nida
okrywała włosy kraciatą chustą i zerkała wstydliwie na chłopaka
przechodząc nieopodal
oddechy równym rytmem grały
pozostały zapisane w ceglany murze Starej Synagogi
śniły sny kamienie i zmierzchy rdzawe liśćmi
szlochały wiatry rozbiegane w cztery świata strony
nie wyśniły szoah

Pękły wiadra Boga — malarza,
rozlały się żółcienie i oranże Tycjana



Miasto

*Miasto kołami woła,
turkot zajeżdża do uszu robotników, którzy
zarobiony dzień niosą na plecach.
Julian Przybós Na kołach*

miasto nigdy się nie kończy
i nie zaczyna.

jak płachta nakrywa ziemię, z punktami wieżowców stojących na
baczność
i salutujących chmurom.
widać je nawet z Kosmosu rozświetlone, żyjące.

tylko gdzieś w ciemnej bramie przemknie szczur,
który chce się dostać do odpadków w cuchnącym kontenerze.
cień starego stróża i cień jego miotły już nie wzbudzają w nim strachu.

na zapomnianych ulicach pojawiają się umarli,
w kieszeni mają obola
albo drobniaki, za które nie można już nic kupić.

kobiety w perkalowych sukienkach w grochy i mężczyźni w panamach
wędrują
zaułkami,
nie widzą zostawionych puszek po piwie i nie czują ostrego zapachu
moczku.

szukają znajomych miejsc, nie muszą sprawdzać na mapach
w google'ach.
wszak jeszcze wczoraj stał tu stragan,
gdzie sprzedawano najśłodsze truskawki.

i te sklepiki przytulone z nićmi, guzikami, z koronkowymi firankami
w poszarżałych oknach,
gdzie wygrzewał się stary kocur.
wcale nie zwracał uwagi na kupujących.

zniknęły dorożki i brukowane ulice.
zda się słycać szelest maglowanej bielizny, para wciąż leci z lufcika.
głosy i śmiechy, przekleństwa i żarty na wpeł rozebranych kobiet.

ślady rdzy zżerają kute zamki i balustrady, jeszcze chwila i obróca je
w nicość.
mury spijają kwaśne deszcze,
przepadły aromaty ciastek maślanych i waniliowego kremu w rurkach.

samotność kołysze się z dopalaczem w chudej dłoni, wodzi
nieprzytomnymi oczami.
tafle witryn błyszczą cudami, których nie stwarzał nawet sam bóg.
(swoją drogą ciekawe dlaczego).

zлизujemy wzrokiem
markowe rzeczy w witrynach projektowanych przez specjalistów od
sprzedaży.
wmawiają nam, że są one must have dla naszego świetnego looku.

strzelają wieżami gotyckie katedry, tu zatrzymuje się czas –
nie pomyślał o tym nawet Einstein.
smuży i zawija wstążka dymu z dopalające się świecy.

są przykazania, które rządzą miastem – gęste od znaków i ikon. mało
słów.
mało rozmów.
regeneracja nocna. wreszcie opada niewidzialne wędzidło korporacji.

miasto jest tajemne i demokratyczne, bo dla wszystkich.

Miasto posmarowane słońcem

Stare domki przy rynku
Przycupnęły w promieniach rozpuszczonych w wodnych biczach
Fontanny
Śnią sny o mgłach znad Pilicy
Połykają krople ranej rosy
Związanej powrośłem z kaczeńców
Bocian wleciał na gniazdo – sterta patyków domem
Sklekotałym wiosennie
Z wybująłą dziewanną na zarosłym rumowisku

Księżyc zagląda w okna
Przesiewa światło przez niciane firanki
Zawieszono sny rozpachniają powietrze
Kruszą się wspomnienia
Gawron kracze skrzekliwie gardłowo
O dawno zapomnianym kirkucie

Snują się zapachy małomiasteczkowych przecznic
Bóg spogląda z uśmiechem
Zna spokojność tego miejsca na pamięć

Dachy domów posmarowane promieniami słońca

Uliczka

Domy wciśnięte jak ludzie przy balustradzie,
gdy chcą zobaczyć przestrzeń
kipiącą przestrzenią, dałą, zielenią, swobodą, wędrówką,
czystą, nieodkurzaną przez nikogo,
prześwietloną pykającym słońcem.

Dom obok domu przytulony,
sklep z pasmanterią po schodkach,
z dzwonkiem nad drzwiami.

A obok lodziarnia i rurki pachnące waniliowym kremem.
Chłopak i dziewczyna oblizują swoje spojrzenia
słodkie i malinowe,
z porannym życiem na twarzach.

Krzak bzu skryty w podwórkowej intymności,
na sznurze prześcieradło przypięte drewnianymi klamerkami
zrywa się do lotu jak samolot na uwięzi.

Dom przy domu.
Każde okno – zdjęcie w albumie Pana Boga,
to z kanarkiem żółto śpiewającym w wiklinowej klatce,
to z amarylisem i drżącą ręką sprawdzającą ziemię w donicze,
to z burym kotem wylegującym na parapecie
i to, gdzie nikt nie zagląda oprócz słońca.

Księgarnia niema wabi słowem nieodkrytym,
słowem do przytulenia, do przemyślenia, do pozbierania, do adopcji.

Plac Wolności w Bielawie. Historie zatrzymane

Zdjęcie wypadło z książki ze zbrązowiałym kartkami.

Mali chłopcy
w eleganckich szkolnych mundurkach,
słomkowe kapelusze dodają im powagi. Niosą teczki
wypełnione książkami. Marzenia kryją się w ich oczach niebieskich,
piwnych
lub zielonych – czasami z filuternymi iskierkami,
czasami pociemniałymi nagłym młodzieńczym gniewem.

Ukryły się piegi i pąsy na dziecięcych obliczach.

Oglądają ten świat okna błyszczące szybami,
wypucowane delikatnymi szmatkami,
żeby ich przypadkiem nie porysować! Zatrzymują obrazy – radości i
smutki,
wklejają się niczym witraże.

Szeleszczą sukniami kobiety – domyślam się kolorów i faktury tkanin.
Kreską rysują się utrefione włosy – niesforne kosmyki łaskoczą
policzki,
trzeba dyskretnie uporządkować je palcami.
Zapach rumianku drży między tkankami upitego tlenem powietrza.

Gwary rozmów głaszczą spokój tego miejsca pełnego ludzi,
pieszczą je uśmiechy,
dystygowane postukiwania lasek i obcasów kobiecych bucików.

Bujna zieleń wylewa się latem – błękit nieba okryły szarością –
„zawiniła” niedoskonała technika – niech nie obrazi się Oskar Barnack
– jeśli
to zdjęcie fotograf zrobił Ur-Leicą.

Spieszą się gdzieś ci ludzie?
Niekoniecznie.
Jakby fotograf skupił całą ich uwagę.
Wpatrują się w niego ciekawie.
Jeszcze nie wiedzą, że w tym momencie dostąpią nieśmiertelności.

Wiatr szura napiętą materią markiz i parasoli,
snuje opowieści, kołysze liście,
paple latarni płoteczki,
patynuje ciszę.
Pewnie też nie wie, że tworzy historię,
że jego podmuch na stulecia utrwali fałdę sukni młodej kobiety.

Przechadzam się po Placu Wolności, wdycham powietrze
z zapachem tamtych dni – naftalina się unosi i lawenda,
rysują historie zapisane przeżyciami.
Dotykam kory drzew jak sto lat temu ktoś inny – mamy podobne
pragnienia –
po prostu chcemy być szczęśliwi.

Czy ci ludzie przewidzieli,
że bielawianie biznes mają w naturze?

Nad potokiem. Zapatrzenie

Zdziwienie: wpatrzone oczy,
nurt wije się łuską tęczowego węża, drzewa utopione w potoku, oni też
– zaskoczenie.

Ryba splata baśniowe światy, miga płetwą grzbietową, a ogonem rysuje
obrazy.

Zdziwienie: wrzucają patyk. Płynię, rozwija żagle,
wiatr niesie go do portu w nieodległych
szuwarach.

Stąpa czas – gładki chłopiec, co czuje ciepło – ręka matki go głaszcze,
nos wyciera, tarmosi czarną czuprynę.

Zdziwienie: magiczne miejsce – Bielawa,
nazywają ją domem.

Tu wyznaczają sobie miejsce spotkań
sny dzieciństwa trzech chłopców, woda co snuje odwieczne opowieści.

Tu czają się przedmioty i śmiechy,
i szczęście.

Czasem tylko składają pulchne dłonie, modląc się o przywilej
stwarzania świata,
gdzie w grze światła i cienia łowią twarze ludzi znanych
i nieznanym.

Zdziwienie: wszystko wielkie. Bielawica ciągnie się hen, hen.

A tu wracać już trzeba, czekają na nich ręcznie tkane obrusy a na nich
kosze

pełne jabłek i gruszek...

Owo miejsce, gdzie jeden drugiemu przewodnikiem w królestwie ulic,
placów i domów,

pałaców bobra i arcydzieł słońca.

Niewyczerpane źródło przygody, pieśni liści w kaskadach gałęzi,
ścieżek tajemnych
i rytmu korzeni drzew podmytych przez wodę.

Zdziwienie: zniknął jarmark, stragany.

Pusto i cicho.

Bez waty cukrowej odmienne postrzeganie świata.

Bielawy.

Niepokój nie ma tu miejsca, wszak potwory mieszkają daleko, daleko
za rzeką.

Spacer po Rzymie

Wieczór ocieślały, pokłuty światłami miasta,
spatynowany szeptami
zawieszonymi w ciepłym powietrzu.
Ludzie niespiesznie wędrują uliczkami,
snują sny skradające się, przygarbione jeszcze,
bezskrzydłe.
Pamięć Michała Anioła
przycupnęła na kamieniu w ciepłym wietrze.
Dotykam wodę,
która gładzi rzeźby Berniniego,
oddycham rytmem fontann na Piazza Navona.
Pachną różnojęzycznym gwarem Hiszpańskie Schody,
dymem pieczonych kasztanów zmysły syce.
Wieczne Miasto, które nigdy nie śpi,
tuli wszechobecne opowieści szeptane przez stare mury.
Święte Schody przejdę na kolanach,
po nich Jezus szedł do Piłata,
niech przeniknie mnie tajemnica Jego Światła.

Synagoga Nowomiejska w Dębicy

śnienie: przychodził tu
lubił patrzeć jak wyjmują Torę z Aron ha-kodeszu
drewno gruszy pachniało słodkimi ulęgawkami
parochet bagnem (podobno odpędzało mole)

ryk potężnych lwów rozrywał ciszę – trzymały złotą koronę
pikował orzeł z rozpostartymi skrzydłami
kręciło mu się w głowie od patrzenia – cherubiny
gęstwa splątanych gałęzi
i rozwieszzone niby do suszenia instrumenty

wyciągał rękę by zagrać
pół-marzennie pół-sennie
realne i nierzeczywiste były te obrazy

śnienie: wędrował z Abrahamem do Ziemi Obiecanej
z Jakubem – Izraelem
z Izaakiem klęczącym na górze Moria
on – Aaron Natanael Ezechiel Symeon Zachariasz

słyszał śpiew i widział kołyszące się pejsy
krąg mężczyzn
aj-waj aj-waj
falował modlitwą tałes podrygiwały frędzle
zapominał o czuleniu gotowanym przez mamę

śnienie: gdzieś tam w babińcu siedziała Jente Estera Miriam Rebeka
Noemi
myślał o niej i nie myślał
błyszczały soczyste oczy orzecha na horyzoncie zachodzącego słońca
pełgały spojrzenia i uśmiechy niepewne
broczyły się pragnienia

W ciemności. Dawno temu w Dębicy

Błacha nieba z prześwitami – lunarne ślady jak po wbitych gwoździach
Wirtualne cacko
Dotykam stworzenia po omacku

Fura ciemności jedzie jedna za drugą
Pławi się
Przecieka
Broczy ożywieniem
Chłodem wyłazającym z każdej szczeliny tego tu świata

Bramy stalowo-granatowej materii
Otwierają się bezszelestnie niczym uchylone drzwi kobiety
wpuszczającej
kochanka

Gęstwa nocy drapie pazurem chłodu
Pudła tajemnicy rozwierają wrota
Krzyczy puszczyk
Pisnęła ostatni raz mysz pochwycona szponami sowy

Czasem przywieje nasiona chabrów albo ostów
Spadną na tłustą ziemię i znajdą tu swój dom
Kacze pióro nurza się w błocie

Czas liże oślizłym jęzorem tkanki powietrza
Pogryza minutę za minutą
Gmera w ludzkich losach
Ktoś umiera komuś rodzi się dziecko
W Dębicy

Pokrzywy. Muzyczny deszcz na Kopcu św. Jana Nepomucena

Figura świętego patynuje wspomnienia, sekrety na ucho opowiedziane,
zadurzenia,

Poszepty,

Prześwity słów wypowiedzianych dawno temu.

Pluskają się muzycznie kałuże rozblotnione obcasami kobiet.

Przyklękają pokrzywy, co wyrosły w zarysie fosy – nieproszone,
niechciane...

Niepewnie zapuściły korzenie,

Oplotły po mistrzowsku ziarenka piasku swoją podziemną pajęczą
siecią,

Złączyły węzłem ślubnym w gruzelki.

Wiatr chłoszcze ich liście, gra glissando,

Przecina nożycami podmuchów, hula po zielonych tkankach

Utkanych chlorofilem i żyłką nerwów, które rysują kształty

Niepowtarzalne. Kapią krople rytmiczne staccato.

Podstępnie trzepoczą rzęsami, co parzą nieostrożnych...

Bąble rosną i skóra pieczeniem się barwi,

Gdy na oślepie uciekają dziewczęta przed pierwszym majowym
deszczem,

Nagłym deszczem na Kopcu we Włoszczowie.

A parasole?

Wicher wywraca na lewą stronę! Uciekają wiatrem gonione.

Wzdymają się dziewczęce spódnice – grochy tańczą jak oszalałe.

Obłądny, synkopowy jest ten dance.

Wpadają roześmiane dziewczyny do kawiarni,

Ciężkie od kropel włosów przylegają do chudych ramion.

Wiją się w tańcu brzucha wstęgi woni – tak pachnie kawa
z kardamonem.

Białe filiżanki przytulają do spragnionych ust.

Uspokajają się kałuże rozbłotnione obcasami kobiet.

Święty Nepomucen uśmiecha się do dziewczęcych tajemnic.

W ogrodzie

Koronki gałęzi drzew zdobiły niebo,
rozsnuwane metodycznie pajęczyny zbierały szkielety much i krople
diamentowej rosy.

Parowała poranna ziemia, rozpościerały się skrzydła błękitu i maślane
iskry słońca.

W oknie willi sączył się kształt młodej kobiety,
w zamyśleniu podpierała głowę. Wiatr – bosonogi posłaniec
przynosił zwiewne wonie – krwiste róże pachniały i chleb z pobliskiej
piekarni.

Wił się dym z komina jak z ogromnej fajki,
pykał, a wrzółcowy cybuch barwił się niespiesznie ciepłem.
Pół snem, pół jawą zdawał się być ten obraz pełen ptasich kantyczek,
pociemniałej zieleni Veronesa, marzeń i wieczornych sekretów,
które nie mogły opuścić jedwabnych kresek dziewczęcego pokoju.

Umknął gdzieś ten świat. Czas podjada cegły i kamienie. Zrudziały
rdzą balustrady.

Tylko w parku czasem przechadzają się cienie.

Willa

Wrotycz pełga żółcieniami Tycjana,
nie wadzi się z szelestem chlorofilu brzózek – samosiejek,
które porosły na gazonie przed domem wypierając róże i begonie.
Gdzieś zapodział się ogrodnik i czas zaklęty w kapsule historii,
tylko otwarte okno wciąż tęsknie stuka,
kominiek śni drewno wiśniowe i płomienie,
poręcze dotknięcia, skrzypienie dębowe schody.
Somnambuliczna dziewczanna niby strażniczka przeszłości
rozmawia z architektonicznymi ślimakami, które dom znalazły pod
dachem.
Zagubiła się ta willa w wirach czasoprzestrzeni, opustoszała
i posmutniała.
Tylko czasami leje łzy brudnymi szybami.

Rowerem

wiatr
czesany szprychami kół
wypływał strumieniem świszczeń
i pogwizdywał

uciekały pobocza zarośnięte trawą
muszki
i orzeł
który tuż obok wylądował

w ich oczach wyrastały uśmiechy
w samowarze bulgoczącym błąkały się myśli
ale tu
na razie
spokojnie i rowerowo
szemrzące witki w koronę układają się właśnie

a może znowu wyruszą
jednostajną melodią skrzywienia
ukołyszają porwaną na strzepy ziemię i serca i dusze

koleiny
odpędzą smutki co szarością przyłgnęły
napiszą radość i okrzyki i nadzieję
powrotu do domu

Czasoprzestrzeń

Wylegiwały się sny lipowe niedawno urodzone
W rozgardiaszu brzęczenia pszczoł dojrzewały
I rosły

Stary garnek pisał się czasem
I potulnie rdzewiał
Zamykając się w nicości

Płot łypał oczami po sękach
Cienie kładły się po cichu drobniakami – plamy i plamki
Rządki mrugających zmatowień terażniejszość pisały

Stary szaflik skrywał lustro kryształowe
Od samego spojrzenia pić się chciało
Trwało napięcie powierzchniowe wody
Która mamrotała błonką tęczy

Ścieliły się świty jak sonety
Bieląły na ranem

Labirynty uczuć pełgały kamiennym spokojem
Na sztachetach suszyły się gliniane garnki
Jak klepsydra odmierzały czas kolejne zsiadłe mleka
Z cienką warstwą śmietany

Trawa tłumiała tupot rozbieganych dziecięcych pięt
Od których mniszki krwawiły lepkiem sokiem
Te dojrzałe wysyłały w świat swoje potomstwo
Wirujące w podmuchach opalonych łydek

Czwarty wymiar

noc zaciska oczy
sznury kredowobiałych chmur zatrzymały się nad sadem
stoją obok siebie stare grusze
dzieją niedojrzałe jeszcze owoce

dziobata kora strzępi ciszę

w dziupli chowa się czas
nikt nie wie ile jeszcze go zostało
świeci próchno – fantasmagoryczny szkic
malowany drżącą ręką

felga księżycy wypełniona niepoznanym
obrzęki przykucnęły na jabłoniach
falują fertyczne trawy
dziób nocy rozwiera się coraz bardziej

bosy świętek gra na fujarce
czas ślini się rosą
przed czym on ciągle ucieka

Leśne obrazy

Pisklę kukułki obrastało w piórka
w cudzym gnieździe
taka jego natura
świeżo upieczony motyl fruwał
nigdzie nie zagrzeź miejsca

echo nie wierzyło własnym uszom
wsłuchując się w rozmowę dwu świerków
na szczycie
a one traktowały je jak powietrze

leszczyna w kwiecie wieku
kołysała baziami i żółciła wszystko dookoła
wiewiórka ostrzyła sobie zęby
na futurologiczne przysmaki

słońce usunęło się w cień
żeby poszukać wiatru w polu
łania nosiła głowę wysoko
nie uciekała przed ciemnymi chmurami

nagle podniebny tabun kropli
spadł na oniemiały las
mała mrówka utonęła w niepamięci
deszczówki

zmokłe kurki rosły w oczach
dzięki podniebnej wilgoci

Jesienne szeleszczenia. Zwiewność poezji

Pod wykrotami chmur siedzi jesień
Zbiera podmuchy wiatru na przełęczy
Uschnięte badyle chrzęszczą i szeleszczą
Sójki na skrzydłach noszą wiersze

Stare chaty jak ćmy przycupnęły tuż przy górce
W balach korniki uparcie chroboczą
Grają świerszcze pod chmurami wędrownego nieba
Wyplakują się ślubnie witkami białopienne brzozy

Ktoś kradnie słowa z leśnych wierszy pełnych kalin i jałowców
Smakuję deszcz spadający nalistnym ruczajem z jarzębin
Ledwo stoję na nogach pijany czerwienią buków
Mchem porasta kamień mruczy stary jesion do wiewiórki

Pajęczyna splotła płonące szkarłatem głogi
Perłą się potoki srebrem pożyczonym od księżycy
Tyka czas zjesienniałymi liśćmi Bieszczadów
Depcze się czas popiołami z dogasających ognisk

Jesienne pejzaże – nienasycenie

Natura zebrała w ręce jesień
Pacierze jak mantry powtarza echem
Grożą głupcom długie konarów palce
Motyl buki szumieć skrzydłami uczy

Na zegarze drzew – skrwawiona jesień
Deszczem potoku święci jesiony
Niedźwiedź coś mruczy między drzewami
Spać mi iść każe do mojej gawry

Puka anioł do każdego drzewa
Obłoki z liści szumią nad cerkwią
Położyło się słońce na poduszce z gór
I tylko jastrząb kołuje na zapasce nieba

Na straganach jesieni – liście
Tętent kopyt maluje ciszę
Stara grusza wzdycha wspomnieniami
Dyndają jarzębinowe korale

Mgielne kolebanie. Wodne opowieści

W dolinach mgła splątała widoki
Zakręciła w rosistość oratorskie echo bieszczadzkie
Rozrzuciła pióropusze frasunku
Łez
Wilgoci
Oblizwała warkocze skalnych krawędzi

Mglista mgła przeciekła przez kolczaste palce świerków

Parabolą wygięły się doliny
Czapy chmur przedziurawiły szczyty
Poniewierają się perły
Spływają z liści – pędzą nalistne ruczaje
Kapią
Ciurkają
Pieczętują żłobieniem ziemię

Po omacku skrwawione buczyny szukają nieba
Niedźwiedź zgarnia łapą ostatnie jagody
Łachmany pajęczyny oblepiają liście
Szarzeją
Kleją się
Fruwają farfocle babiego lata

Gdzieś w Polsce... Fotografia

Wschód słońca struga obrazy światłem
Strzepuje resztki nocy z poduszki snu

Świt pieczętuje kolejny dzień
Nadzieją

Soczewkowate kłosa przyglądają morką sterczące wąsy
Łasi się zboże
Wygina grzbiet głaskany wiatrem

Przecieka tęcza
Żółci bieszczadzkie buki
Niedługo pęknie

Czołga się jesień
Pod płótem z poszarzałymi deskami
Które okiem zgubionych sęków świecą – nasrebrzają się księżycem
Żółtozłocieją południem
Chropowatością połykają promienie
Niańczą wspomnienia

Sparszywiałe liście szczawiu z czerwonymi purchlami
Purpurowieją ze starości
Zjada je czas

Naszywają się na pamięć obrazy
Nasycone Polską

Mgła w dolinach

W dolinach mgła nakryła płóciennym fartuchem
rozkryczane kolorem buki,
wilgotne liście piszą ciszę.

Osiadły łemkowskie pieśni
w dywanie wrzosiejącej darni.

Ostatnie słodkie jagody,
podsuszone już trochę,
łakomie zjadają tatrzańskie niedźwiedzie.

Rzeźbi się spokój – krzyk zagubionej sójki szarpie ciszę.

W opuszczonych gniazdach tylko pióra,
jeszcze ciepłe od brzucha ptasiej matki.

Przestrzeń spatynowana

Usidlona pozuje z białymi wykwitami chmur,
Nieograniczona tańczy w niezapominajce błękitu.
Czasami zachrypnięta gromami,
Czarowna i wyzywająca w swej dziewiczości.

Z dziennym okiem słońca i nocnym księżycu
Przezroczystość spatynowana kożuchem mgły
I deszczem – płaksą chłoszczącym jej istotę.
Ma swoją nieodgadnioną misję.

Prowadzi promienie słońca do Ziemi,
Otwarta woalem bez zaułków chmur.
Szpetna statusowymi chaszciami – przestrzeń –
rozszerzająca się z każdym ruchem ludzkiej myśli.

Przestrzeń Ikar

Lotnik włóczy się w niej niczym wagabunda po bezdrożach,
zatraca w swobodzie, wolności bez końca.

A ona kokietuje, umizguje się niepoznanym,
karminuje i kusi zawstydzonym zachodem słońca.

Całkowicie odsprzedana ptakom – zwiadowcom,
odwiecznym triumfatorom przestrzeni,
szelestliwym wysuszonym liściom wirującym w niebycie,
pajęczym sieciom oderwanym podmuchem od ziemi.

Ikar chce złamać szyfr potęgi kosmicznej otchłani,
poznać gejzery wybuchające w nieujarzmionych przestworzach,
by nicować dotychczas znane słowa i teorie
zapędzające się w zawołowaną przestrzeń.

Przestrzeń ciemnogrnatowa

Nieustannie niebieszczeje, nawet szturchana błyskawicami,
obłoki defilują zwartą kolumnadą przed trybuną słońca,
mroczne sidła gwiazdnej ciemnogrnatowej przestrzeni
łowią odgłosy wszechświata w przestworzach konające.

Gwar gwiazd nie cichnie. Szept jednych wydaje się krzykiem,
inne mruczą przygłuszoną, stłumioną pieśń dali –
nieposłusznej prawom fizyki – która urwie się ze sznurka fali
i zniknie na zawsze w cmentarzysku przestrzeni.

Ponidzie leśne o barwach chalcedonu. Pohukiwania pięciu sów

Leśny staw puszcza zabłocone oko,
wytrzeszczone, z gęstymi rzęsami krzaczorów,
w którym brudzą się nawet promienie palącego słońca.

Las z misterną plecionką gałęzi,
niczym z koronek mojej babci,
przetykaną fletnią – śpiewem ptaków i pajęczyną,
nieprzewidywalny w swej niezwykłości,
z cieniem wiatru buszującego w koronach.

Gęste postukiwania dzięciołów patynują ciszę,
odmierzają wilgotny czas pachnący pleśnią
i butwiejącymi liśćmi.

Pochrumkuje dzik szukający żołądźi,
ryje ziemię, prycha, ociera się o pień drzewa,
aż spada na niego deszcz liści, patyków,
wystraszonych owadów niknących w czeluściach
okraszonych pomlaskiwaniem.

Dzwonki – niebieskie kampanule drżą
w cedzącym się chłodzie wieczoru,
w przesiewającym przez sito godziny zmierzchu.
Gubi się jasność, grzęźnie w wieczorze.
Iluzoryczne obrazy.

Umierają trele zięby,
rodzą się pohukiwania sów.
Grają swoje hejnały. Po omacku osiada rosa na seledynowej trawie.
Pyzaty fiakier wjeżdża na granatowo-hebanowe tkanki firmamentu.
Noc – kolombina w koronkowej woalce zwija dywan jasności.
Da wytrzeszczonego jeziora skaczą gwiazdy –
madonny jasności.

Jesień w Górach Grybowskich

Jesień ma w garści purpurę i płatki złota, buty podkute tęczę z liści,
podszewka nieba wiatrem chrzęści – pod pręgierzem pręży ramiona.
Kiermasz chmur.

Jedna ma srebrne krople w kieszeni – perły, które połyka spragniona
ziemia,
inna markerem obrys gór zbiera w odcieniach brązości.

Tu rodzą się anioły i świątki z fujarką przy ustach,
tu zegar tyka latami i nigdy się nie spóźnia.
Każdy świt plecie się nabożną pracą, jabłkami w wiklinowym koszyku,
paciorkami drewnianego różańca błyszczącymi od codziennego
dotyku.

Tu tupie jeź po ledwo widocznej ścieżce,
a góra jest obwiązana sznurami górskich szlaków.

Pękły wiadra Boga – malarza, rozlały się żółcienie i oranże Tycjana,
a szafrany i bursztyny starannie przykrywają zielen Veronese'a.
Tylko gdzieniegdzie szare wisiory pajęczyn
rozpięte niczym hamaki między gałęziami i uschnięte strzelające
badyle.

Urodziły się rzeki rdzawości, ugier i ochra w koronie,
codziennosc rozpala się w sześcianie jesienności, kolor w kolorze tonie

Nocna sonatina

Przysiadłem na krawędzi antracytowej nocy,
spiętej agrafką ożywczego chłodu.
Akantowe liście płodnej winorośli
spijały zimne krople zbawiennej wilgoci.

Ciemny staw okrywał kozuch rzęsy wodnej,
lunarna anadema zawisała na smukłych wtkach
starej wierzby, moczącej szelestliwe dłonie.
Zasnął zmęczony graniem polny konik.

Błysnęła diamentowo mgiełka delikatnej rosy
na ażurowej, lepkiej, krzyżackiej pajęczynie,
rozwieszanej między dorodnymi somnambulicznymi dziewczannami.
W koszu nocy schowało się nieśmiałe milczenie.

Łowiłem spatynowane hebanem odgłosy przyrody,
która miała już za sobą pierwszy, dziewiczy tej nocy, sen.
Promienie księżyca włóczyły się między zaułkami chmur.
Niewyraźna tajemnicza przestrzeń kokietowała nieznanym.

Budzenie się

*Dymi kocioł Karpat
Po śniegu lnie niebieskim
Idę ciężko jak niedźwiedź
Mruczę coś do obłoków
Jerzy Harasymowicz Niedźwiedź*

Ścieżką ze słów idzie starszy pan w kapeluszu
Zbiera skrwawienia buków
Owija zapachem krokusów wiosennie wyległych
W przestrzeniach nieba i ziemi

Anglezuje wiatr w gałęziach głogów
Śniących zjesienniałe szcerwienienia
Niebo w puszystym berecie chmur czeka
Rzeźbi się powietrze pajęczyną dzwoniącą kroplami wilgoci

Człowiek idzie i ślizgają mu się nogi w czarnym błocie
Do kieszeni chowa westchnienia
On – niedźwiedź z dzikiego bieszczadzkiego lasu
Tylko tu budzący się do życia

Buki czerwone
Jak zapalone niebo
Stoją

Bajania plotą
Zmęczone lotem
Głogi

Zamaszyste kaliny
Wypuszczają w świat
Dzieci

Nie wiadomo
Czy cerkiew zazłoci
Ikonami

Duchy Łemków
Zroszone blaskiem
Księżycy

Śpiewy na połoninach
Grzebią zmarłych
W górach

Cerkiew

Drewniane spatynowane anioły z przygaszonym spojrzeniem
i startym nosem spoglądały łagodnie w dal,
popatrywały na tych wchodzących do cerkwi,
gdzie cisza była i żal. Świeciły błyszczące oczy

w rozmodlonych twarzach. Czynili krzyże raz po raz.
Pełgały świece a przez szpary w rozeschniętych,
jodłowych balach wdzierały się ostre szpiczaste promienie,
które co i rusz rozpuszczały się w pozłocie ikon,

pochwycone niczym w jasyr. Odurza zapach rozgrzanych świec,
szeptane modlitwy kładą się na bursztynowej ciszy,
dojrzewają myśli i słowa niewypowiedziane jeszcze,
próchnieje, sypie się i pyli czas bez modlitwy.

Dolina z zapachem siana

Płachta wody pomarszczona starym wiatrem,
z zatopioną szarością stratusów
szumi, burczy, gra coś z Chopina
wystukując tarabaniącymi kroplami,
mąci i patynuje ciszę.

Hordy wiatrów wieją w cztery strony świata
w tej dolinie z gołębiami i krukami,
z krzyżakiem drepczącym po lśniącej pajęczynie,
z tęczowymi prześwitami o świcie.

Gra biedronce,
polnym makom wachlowanym przez powiewy i wicherki,
plącze korale z jarzębin,
które zawisły na smukłych szyjach dziewczyn.
Ktoś zawiesił mały sznur – jakby pereł – na przydrożnej kapliczce
Maryi.

Ta dolina posypana mrokiem nocy,
zagubiona, zaplątana w nitce świata,
z zapachem świeżo suszonego siana,
skowronkowo rozdzwoniona, wroniasto zakrakana.

Po burzy I

Kuse opowieści wieje wiatr,
Ponaglany huczeniami burzy
Konającymi w szarych bukietach stratusów.

Łzawo otrząsa się lipa,
Drobiny miodnego zapachu zamykają ciężkie krople,
Łomoczą o dno garnka przeżartego łuną rdzy.

Kot – czarny jak cały świat – skrył się w stodole,
Tylko oczy czarują przestrzeń błyskiem,
Miękkie futro pachnie sianem z zasuszoną niezapominajką.

Łodyga podsuszanej tymotki nawłóczy perły wilgoci
Jak korale nanizane na wstążkę,
Śni sny wieczorne, dopiero rozpoczęte, pachnące deszczem.

Po burzy II

Stara beczka wystawiała otwartą gębę,
A strumienie deszczu właśnie tu kończyły swoją podróż.

I falował się czas,
I pisały westchnienia drzew, łykowatych łopianów, traw,
I mruczenie napojonej ziemi z koryta dżdżu.

Gadały liście,
Strząsały krople,
Jak kąpiące się kobiety wyciskające wodę z długich włosów.

Krople co i rusz świdrowały mokrą przestrzeń,
Kapały z kaskady liści,
Grały tylko sobie znanym rytmem mini tam – tamy.

Pływały nalistne ruczaje,
Jak górskie potoki ze spienioną wodą na gładkich kamieniach.

Późna jesień w Bieszczadach. Echo przyprószone wiatrem

Gdzie rozcapierzone tarniny
Zbierają nastrożone babie lato
Granatowe tarki popadają w cierpkość
Kotłuje się chrzęstem powietrze

Pole chropowacieje skibami
Wiatr porwany na pęczki
Wzdyma liść jak żagiel
Na oceanie wzburzonego nieba

Ciężka chmura zawisła nad cerkwią
Z łzami niezliczonymi przez
Nadbieszczadzką tęczę
Utkaną z aksamitu

Wiatr niesie na suchych skrzydłach
Zapach nagrzonej buczyny
Pomarszczonego słodkiego głogu
Wyznania miłości chłopaka

Słowo rwie się w powietrze
Cedzi przez liście cichy skowyt
Rygiel na echu trzymam z piołunu i wrotyczu
Byś nie słyszała skarg...

Ulewa. Drżenie ciemności

Siekły bicze deszczowe gałęzie i konary
Wycierała się kora kasztanowców nagich
Ciekły strumienie wody bez wiosennej czułości
Błocilo się powietrze, i ziemia, i niebo

Wicher nagiął widzenie świata, rwał noc
Strzępił sny otrząsające się niczym szczeniak
Organy wiatru huczały Bachem, mszami
Mgłą zakreślała się przestrzeń ciemności

Potykały się wołania, trzeszczały myśli
Kręciły w karuzeli zbrązowiałe liście
Podsuwałem wichrowi do zabawy parasol
Strugi deszczu śpiewem błyszczenia trzepotały

Wędrowiec. Puszcza Jodłowa

Przyprószony szarością zieleni jodły
Oplecionej siatką gałęzi buków
Wędruje
Między kamieniami nogi ostrożnie stawia
Powietrze zachłannie połyka

Goni go cichnący odgłos dzwonów ze Świętego Krzyża

Srebrzeje kora buków
Ciurkocze strumyk wodą utkaną z brzasku

Wędrowiec grzeje swoje ręce
W złowionych promieniach
Tonących w łącznych ukoronowanych głowach

Rozsiane kamienie – poszarpane ostre
W rumowiska skalne pozbierane
Posępny cień rzucają nocą na Łysicy
Cień – szeptuchy
Zjawy czarownicy...

Zachód słońca

Oblały się chmury rumieńcem zachodu słońca,
niebo błogo przymrużyło oczy
zatopione w nieuniknionym rytuale zasypiania.

Czarny ptak narysował pędzlem ogona i skrzydeł
magiczne esy – floresy,
a ramą była miłosna linia splecionego czule horyzontu.

Gdzie błękit? Gdzie zieleń drzew i złoty odcień słońca?
Zastanawia się viator,
wędrujący bez pośpiechu i bez celu, tak po prostu idący.

Nieruchomy świat mruczy zasypianki – serenady,
wagabunda, który nie znajduje nawet koślawych słów,
idzie, patrzy, uśmiecha się i uparcie milczy.

Stary park

W spróchniałych kasztanowcach,
gdzie czas skraplał się wspomnieniami – drżały pajęczce pułapki
pełne much – ich szkielety dyndały pozbawione wnętrzości.

Stary park typał stawem – zarośniętym tak bardzo,
że przejść raczej nie sposób.
Strażniczki
zapomnianych ścieżek broniły – pokrzywy
żądląc gołą łydkę lub stopę obutą jedynie w sandały.

Lustro stawu – to w nim przeglądały się ptaki,
Ważki spoglądały z ukosa polując zawzięcie.
Kaczki rzeszę pożerały łapczywie – toż to prawdziwy róg obfitości!

Rosa jak szklane kulki przyklejone do trawy;
Tymotka ostrym nożem cięła przestrzeń,
brzegi potrafiły skrwawić
Nieuważne, delikatne palce...

Tu rzeźbiły się sowy i puchacze o oczach zbrązowiałych bursztynów,
Kaleczyły ciszę ich głosy – trochę nieziemskie pohukiwania i piski;
Wycinały karby na spokoju starego parku.

Miauknięcia niby płacz dziecka stroszyły sierść ostrzegawczo,
Mur z kamienia nie stanowił przeszkody.
Królowały tu koty – bure, czarne, łaciate,
prychające,
o oczach jak katedralne rozety,
co w poduszkach miały haki ukryte jak ostre szpile,
co rysują korę gładkich buków,
jesionów wyrosłych z samosiejek
i poczerwieniałych jarzębin.

To tu chmury chodzą po błękiecie

*Gdzie
Chmury po błękiecie chodzą.*
Elik Aimee

Spójrz na ten obłok i znajdź dla niego imię,
Wiatr zaskomli, powtórzy je po wielokroć.
Ptak narysuje na błękiecie magiczne esy-floresy,
A one pozostaną na zawsze w moich oczach zapisane.
Stara grusza stoi samotnie na miedzy,
Podryguje na wietrze,
Przygarnęła wróbla – skaczącą kulkę,
A on obdziela radością każdą gałązkę bezlistną jeszcze.
Spójrz na niebo przybrane koronką gałęzi
z uwieszonym supłem skręconego poszarzałego liścia.
Potrzęsają pustą głową stare osty,
Chrzęszczą kolankami uschnięte trawy z porwanymi pajęczynami –
Czarnymi, potarganymi przez wiatr,
Brudnymi wisiorami z przyklejonymi paprochami –
wydawać by się mogło, że z całego pola zebranymi...
I tylko ten błękit i te obłoki.
Skłębione jeżyny wystawiają haczyki.
Czekają na wachlarze seledynowych liści.

W dolinie

Nad kotłem doliny chmury. Zawisły
na niewidzialnym sznurze.

Ciężar siny naręcza kropli leje z pyska. Chmura
się wścieka.

Zrywa kapelusze liści buczynom. Tnie
kosą warstwy powietrza.

Bulgocze woda w samowarze strumienia. Krople
chłószczą przestrzeń.

Zębiskami odgryza kamienie. Rzuca
nimi w dal.

Paroksyzmy złowróbnego śmiechu odbijają się
od ścian doliny.

Pradziadek z wierzbami w tle

Wierzyby stoją karnie w dwuszeregu polnej drogi.
Pradziadek z siwkami tu odpoczywał,
gdy przeorał szmat ziemi, siadał w cieniu wśród turzyc
i pokrzepiał się zimnym mlekiem z kamionkowego dzbanka.

Lniane płótno skrywało kawałek białego sera
i błyszczały w słońcu grudki mlecznego tłuszczu,
i pachniała kwaśnością wilgoć serwatki.

Chleb z wypieczoną skórką,
co strzelała okruskami
i niespiesznie krążyły myśli niczym powolne motyle,
co kosztują nektary na łące i są syte, i nie chce im się już latać.

Siwek posrebrzone trawy wciąż skubał
i zjadał się koniczyną, ledwie co rozkwitła – soczystą, wezbraną
słodoczną.
Łagodziła powoli głód
i gasiła pragnienie.

Stękały pnie wierzb patrzące wypróchniałymi oczodołami czasu.
Morka głaskała sierść konia i niosła odgłosy wioski – nawoływania,
rozmowy,
kłótnie gęsi, poszczekiwanie psa znudzonego beczynnością.

Klarowało się południe.
Latały wściekle muchy z tęczowymi grzbietami,
z głośnym bzyczeniem pikowały w powietrzu niczym małe jastrzębie,
które spostrzegły w zagrodzie małe kurczaki.

Drobiazgi rodzinnych wspomnień się porwały. Pozostała nic.

Przedświt

Światło prószy się, przesiewa przez sitko ciemnicy
niezdarnie, popiskuje jak mały szczeniak,
szemrze, trzeszczy starymi drzewami, skubie krople żywicy,
pokrywa zieloną falą sosnowy, młodzieńczy chojniak.

Łapie w garstkę smugi ciemności, jasność oplata warkoczem
konary, wysypują się pogwizdywania zięby, umierają
pohukiwania puszczyka. Poziewa rozespiane Roztocze.
Chojary chojracko prężą się do słońca, na baczną stają.

Wiatr, leśny goniec, roznosi aromaty i rozpachnia powietrze,
spokojny szczyrzy w uśmiechu wyłoczone promieniem zęby,
rozwścieczony szarpie i łamie, jakby w proch chciał wszystko zetrzeć.
Tylko skrzypy skrzypią swoje sny, wspominając dawną potęgę.

Świtanie

Świty ścielą się niewinnością sonetów,
mruczą i smakują światło,
skowronki wzbijają się w purpurowiejące odmęty powietrzne.

Trawy śnią zieloność chlorofilu,
goryczkę – dziurawce,
wspomnienia – opuszczone gniazda a myszy – półślepe sowy.

Noc odeszła w nieznane, zabrała księżycę,
wyskoczyły z wody gwiazdy,
umoczyły się rąbki jaśniejących chmur,
rozbłyły w zmrużeniach ciemności.

Piania kogutów splatają się w warkocze,
węże dymów płowieją na niebie przedświtu,
krząta się siwa babcia szurając kapciami – gotuje kawę i mleko.

Pachną cudowne wonie, bulgoczą w czerwonym rondelku,
skórka chleba pod nożem się kruszy,
pełgają okruchy dojrzewającego słońca.

Czarny bez zapachem się pyszni ponad miarę,
przed rumianki przebiega, przed wrotycze.
Żarnowiec udaje plamkę słońca,
krople rosy tworzą nalistne ruczaje.

Konik polny zacichnął,
napęczniałe miodem lipy wyszły z cienia,
zaneżyły powietrze wypatrując pierwszej pszczoły.

Skrzypi wyszczerbionymi deskami stary płot,

kolebie gliniany dzban i emaliowany, trochę obity garnek.
Jak żagle wzdymają się na sznurze wykrochmalone prześcieradła.

Dla zwyczaju krzyż ręką uczyni,
do pracy zabierze się ochoczo,
ułożą się słowa w modlitwy,
pocerowane serce znów odżyje.

Puszczański świt

Stęknęły ciemnogrnatowe drzwi cicho zamykanej nocy,
przedświt zataczał przezroczyste atlasowe kręgi.
Ukołysał zaspane bezszelestne krople rosy
w ramionach ziewającej perłowo trawy.
Wstążka nieśmiałego światła łaskotała czule
odwłok szaroomszałego pająka krzyżaka,
jego lepki pajęczynowy stół,
misternie-azurowy, cały w przysmakach.
Porcelanowa cisza skubała liście brzozy,
pełnoletnie nasiona sosny jeszcze przytulone,
a za chwilę wylecą w świat na uroczo zmierzwionych włosach
anemicznego spatynowanego licznymi podmuchami wiatru.
Gruby bąk zamruczał najgrubszą struną kontrabasu,
anorektyczny komar z grzybowego lotniska w świat lasu wystartował.
Wątle światło przeglądało się w oczach napuszonej sowy,
najejzonej, z poukładanymi piórami siedzącej z godnością matrony.
Niecierpliwie czeka na świt, by zasnąć otulona słonecznością.
Puszcza powoli się rozbudza,
otwiera kwiatowe upojnie pachnące oczy,
kicha poranną rosą i przeciągami,
połyka promienie słońca jak kawę z rogalikami,
ukrywa je w mchu, w dojrzewającej poziomce
i między czule splecionymi gałęziami.

W ogrodzie

Chopina gra napęczniała nasturcja
Z pomarańczową skórką, pachnąca niczym strucla.

Kot z witrażami w oczach węży, szuka...
Margerytki, nasturcje, kot – toż to prawdziwa sztuka!

Przemyka. Ogród, labirynt, Minotaur;
Krwiożerczy – zaraz z poduszki wystawi pazur.

Wróble w grupie słuchają Chopina,
Trzeszczy korą świerk – znowu naszła go wena.

Stara jabłoń – Adam, Ewa, jabłko i wąż;
Grzech się tli. Ktoś komuś wybacza wciąż.

Mur z biedronką w tle

Stary mur okryty peleryną kurzu,
Spatynowany mchem,
Świecący – jak starzec – szczerbami,
Okolony bluszczem pnącym się zielonymi kleksami.

Milczący mur stoi twardo na ziemi,
Zatopiony w murzastym zamyśleniu,
Ociekający intymnymi wspomnieniami
Z proporcją jawy i snów, pół na pół.

Przyobleka ceglana minę twardego,
Dziewanna go zdobi żółcią słońca.
Mur – strażnik wolności czy niewoli?
Czerwienią się fertyczne maki w rozkapryzonej zieloności trawy.

Grad mu daje prztyczki w nos,
Wiatr niemiłosiernie chłoszcze batem deszczu.
Wspomnienia wiją się, proszą nienawiścią i miłością,
Pompatyczne echo pełni dyżur między starodrzewami.

Pełnokrwista biedronka wylądowała na ceglany pasie startowym
muru,
Przyczajona, z błogostanem pomszycowym,
W odurzającym zapachu zdziczałej róży,
Z przestrzenią pikowaną nieustannie brzęczeniem pszczoł i trzmieli.

Moje miasto

Moje miasto obrosłe trzcina i nawłocią,
ni to zadumane, ni senne,
z koronkami czule splątanych pajęczyn
między sepiowymi latarniami.

Moje miasto – przytulisko lip i klonów,
z powiewającymi marzeniami,
z przemarzną słodką jarzębiną
z pękami kwiatów gili i jemiołuszek.

Moje miasto budzone krakaniem gawronów
rozwieszonym na sznurach od bielizny,
uśpione baśniami lunarne lasu,
pomalowanego kolorem magicznej magii.

Moje miasto z żyłkami ulic
zagubionych w księżycowej poświacie,
ubrane w zapach suszonych grzybów,
z wieżą kościelną w opłatkach chmur.

Tylko tu zmrok wyłazi spod wielkiego kamienia,
przeciąga się tęsknie, niezdarnie człapie,
ślini nadpilicznę łąki, jasność ściga i łapie.
Wabi bociany aromatem kaczeńców.

Stary most skołatany kołami,
z leniwą liszką spatynowanej stratusami Pilicy,
gra staccato głuchymi dźwiękami,
które tylko tu usłyszysz.

Pod słońce

W lawendowy krzak zapuszczam łakome oko,
Nienasycony nos wypełnia się fioletową wonią.
Pachnie nawet drżąca nić pajęcza,
Ze schowanym na brzegu myśliwym – krzyżakiem.

Grają koncert osy i pszczoły.
Przeglądają się w ostatniej kropli dyndającej rosy,
Z odbitymi kiściami wypełnionych kwaskowatym sokiem porzeczek
I jabłkowym zdziwieniem chropowatej jabłoni.

Stary mężczyzna pogłaszcze spękaną korę,
Dłonią z sękami przyzwoli głodnej biedronce zapolować na mszyce.
Cienie krótkie jak miecze kłują zszarzałą wysuszoną ziemię,
Za czyjąś ręką czynią na piersi krzyże.

Czarny kot z oczami jak katedralne witraże
Koci grzbiet wystawi do słońca,
Zamruczy,
Czerwonym językiem umyje błyszczące wąsy.

Jabłoń precedza światło,
Migają na trawie nierówne plamki jakby otarte na tarce.
Igrają i skaczą,
kołyszą się te powietrzne wieloskrzydłe motyle.

Chmurny ptak łaskocze nienaganny błękit,
Łapie w fiolet promienie słońca,
Wynurzają się zaplątane, przyczajone sny,
Jeszcze wstydlive jasnością.

Zamyślenie z drzewami w roli głównej

W milczeniu kartkuję kształty liści
w księdze drzewa jesiennej,
złotej i rudej. Patrzę
na słońce przez siatkę
gałęzi,
oczy mrużę.
Na pniu spróchniałym siadam,
spoglądam na koryncką kolumnę dębu.
Snuję myśli
pełne poprawek i skreśleń,
czytam niebo gęsto plecione obłokami koron
we wrześniu.
Moje palce wrastają w korzenie,
w żyłach płynie krew wody,
tętni skrzydłami liści
życie.
Migają cienie
niczym pieniążki wysypane z sakiewki
na kobierzec trawy.
Szepczą mi coś do ucha fertyczne brzozy – leśne modelki
na wybiegu z mchu płonnika.
Wnikam.
Coraz bardziej jestem
przyszłym drzewem.

Maciej Henryk Modzelewski



Maciej Henryk Modzelewski

Maciej Henryk Modzelewski - ur. 11 grudnia 1999 r. Student historii na Uniwersytecie Warszawskim. Laureat licznych konkursów literackich międzynarodowych i ogólnopolskich: „Młodzi Poeci” organizowanego przez Głos Polskiej Kultury w Birmingham oraz International Polish Artists Association (IPAA) z siedzibą w Londynie, „Młodzież pisze wiersze. Jungen schreibt Gedichte” w Berlinie, Konkursu im. Reni Spiegel, Międzynarodowego Konkursu Literackiego im. Wandy Chotomskiej w Słupsku, „Namuzowywanie” w Węgorzewie, „Przecież każdy pisze wiersze”, „Bez Granic” w Chrzanowie, „Władysław Sebyła – poeta Katynia”, Konkursu Poetyckiego im. Zbigniewa Jerzyny w Warszawie, „Sen o Karpatach”, Konkursu Poezji Chrześcijańskiej im. Jana Pawła II „Cywilizacja Miłości” w Opolu, „O Laur Wierzbaka” w Poznaniu, Konkursu na Felieton we Wrocławiu, „Na skrzydłach Ikara” w Mielcu, „Rytm Nieskończoności” im. Jacka Kaczmarskiego w Warszawie, „Odkrywamy Talenty Przyszłości” w Warszawie, „Herbatka u Grabskiego – pasje Grabskiego”, Konkursu Literackiego Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy, „Nadchodzące pokolenie” w Bytomiu. Jego wiersz *Muzyka puszczy* (nagrodzony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Las – moja miłość” w Białowieży) Komisja Europejska w Brukseli zamieściła w książce *Opowieści o naszych lasach* wydanej w 24 wersjach językowych w krajach członkowskich UE (angielski, francuski, niemiecki, włoski, hiszpański, grecki, bułgarski, duński, szwedzki, fiński, holenderski, maltański, rumuński, irlandzki, czeski, słowacki, estoński, chorwacki, słoweński, litewski, łotewski, węgierski, portugalski, polski).

Utworki Macieja Henryka Modzelewskiego zamieszczono w ponad 150 almanachach pokonkursowych i książkach z numerem ISBN oraz książkach i czasopismach wydanych za granicą. Jego wiersze znalazły się również w Antologii Poetów Polskich 2016, 2017 i 2018. Interesuje się historią, literaturą, filmem i malarstwem. W każdej wolnej chwili czyta nie tylko poezję, ale również prozę Szczepana Twardocha, Olgi Tokarczuk, Stephena Kinga, Witolda Gombrowicza, Brunona Schultza czy Jean-Paula Sartre’a. Bardzo ceni twórczość Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego.

Wiersze Macieja Henryka Modzelewskiego ukazały się w: *Opowieści o naszych lasach*, Bruksela: Komisja Europejska, 2013; *Szklane pióro*,

Birmingham: *Głos Polskiej Kultury*, Wydawnictwo Favoryta, Australia 2013; *Młódzież pisze wiersze. Jugend schreibt Gedichte*, Berlin: POLin Polki w Gospodarce i Kulturze t.z. Westhafenstr, Berlin 2015 i 2016; *Wszystko jest możliwe, trzeba tylko wiedzieć o sposobach...*, Jastrzębie-Zdrój: Wydawnictwo Black Unicorn 2016; *Konstrukcje. Trzydzieści pięć Laurów Wierzbaka*, Poznań 2017; *Profile*, Warszawa: Wojskowe Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „SWAT”, Warszawa 2017; *Bieszczady między wersami*, Kraków 2017; *Słowo jak witraż duszy*, Soroptimist International, Słupsk 2018; *Kamień i drzewo pamięta...*, Stowarzyszenie Ekologiczne, Barcin 2018; *Hymn zachwytu, Republika Ostrowska*, Ostrów Wielkopolski 2018; *Szybując, Klub Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych*, Wojskowe Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne SWAT, Warszawa 2018; *Metafora Współczesności*, Międzynarodowa Grupa Literacko-Artystyczna <<Kwadrat>> 2019; *Miłość w czasach fejskultury*, *Novatorja*, Łódź 2019; *Lotniska myśli*, Klub Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, Wojskowe Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne SWAT, Warszawa 2019. Swoje wiersze Maciej Henryk Modzelewski publikował także w bielawskim wydawnictwie Bibliotheca Bielaviana, w antologiach: *Sudecka poezja i proza XXVIII, Sudeckiej biblioteki impresje 2019. Wybór wierszy*, Bielawa 2019 i *Sudecka poezja i proza XXXII, Sudeckiej biblioteki impresje 2020. Wybór wierszy*, Bielawa 2020, a także w tomiku pokonkursowym: *Sudecka poezja i proza XXXI, VIII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2019.

Spis treści

Ja – Człowiek

Ja – Człowiek	7
Koszmar pana C.	8
Pan Cogito i syryjscy uchodźcy	10
Umarli nie mogą się bronić	11
Sumienie	12
Prawe i lewe	13
W labiryncie	14
Poszukiwanie	15
Z drzewa wierszy. Słowa szeleszczące znaczeniami	16
*** [Z głową w obłokach wierszy]	17
Młodość	18
Poszukiwania	19
W drodze do słońca. Poszukiwania	20

Fascynacje kreską

Z Nokturnu cis-moll Fryderyka Chopina	23
Majorka. Z fortepianem w tle	24
Dziewczyna o szaroszmaragdowych oczach	25
*** inspirowany obrazem	
„Drzewo życia” pędzla Gustava Klimta	27
*** inspirowany obrazem	
„Droga do Middelharnis” pędzla Meindert’a Hobbemy	28
Panny z ulicy d’Avinyo.	
Inspiracja obrazem pędzla Pabla Picassa	29
*** inspirowany obrazem	
Vermeera „Młeczarka”	30
*** inspirowany obrazem	
„Peasant Girl Drinking her Coffee” pędzla Camille’a Pissarra . . .	31
W muzeum	32

*** inspirowany obrazem	
pędzla Aleksandra Gierymskiego „Pomarańczarka”	33
*** inspirowany obrazem	
Józefa Chełmońskiego „Babie lato”	34
*** inspirowany obrazem	
pędzla Amedeo Modiglianego „Kobieta w kapeluszu”	35
„Kobieta z perłą” pędzla Camille’a Corota	36
*** inspirowany obrazem	
„Zuzanna i starcy” Giovanni’ego Battisty Tiepolo	37
*** inspirowany obrazem	
„Kobieta w oknie” Caspara Davida Friedricha	38
*** inspirowany obrazem	
„Bal w Moulin de la Gallette” Augusta Renoira	39
*** inspirowany obrazem	
Józefa Czapskiego „Żółta chmura”	40
Przed Sądem Ostatecznym	
– „Czterej Jeźdźcy Apokalipsy”	41
„Czterej jeźdźcy Apokalipsy”.	
Fascynacja kreską Albrechta Dürera	42
*** inspirowany ilustracjami	
A.E. Andriollego do „Pana Tadeusza”	43
*** inspirowany obrazem	
„Bankier z żoną” Quentina Massysa	45
„Powrót syna marnotrawnego” Rembrandta	46
*** inspirowany obrazem	
Georgia de Chirica „Melancholia ulicy”	47

Ty dajesz mi myśli,

które na przekór wszystkiemu świecą

Dwoje w kawiarni	51
Nadzieja	52
*** [Jesteś mgłą]	53
codziennosc	54
*** [Opowiedz mi sen]	55
*** [Kawa w porcelanowym kubku pachnie wanilią].	56

Zielone orzechy	57
W nocy	58
Koncha	59
SMS. Morze.	
Pragnienie nędzarza uzależnionego od szukania zasięgu ...	60
Misterium wody	61
Stary. W tawernie. Wspomnienia	62
Okno	63
Po twojej stronie świata. Drżenie	64
Łza	65
w zimowych nastrojach.	
porcelanowe szeptania miłości ze świerczaną gałązką w tle ...	66
W Pińczowie. Prolongata pamiętania	67

**Pękły wiadra Boga – malarza,
rozlały się zółcienie i oranże Tycjana**

Miasto	71
Miasto posmarowane słońcem	73
Uliczka	74
Plac Wolności w Bielawie. Historie zatrzymane	75
Nad potokiem. Zapatrzenie	77
Spacer po Rzymie	79
Synagoga Nowomiejska w Dębicy ...	80
W ciemności. Dawno temu w Dębicy	81
Pokrzywy. Muzyczny deszcz	
na Kopcu św. Jana Nepomucena	82
W ogrodzie	84
Willa	85
Rowerem	86
Czasoprzestrzeń	87
Czwarty wymiar	88
Leśne obrazy	89
Jesienne szeleszczenia. Zwiewność poezji	90
Jesienne pejzaże – nienasycenie	91
Mgielne kolebanie. Wodne opowieści ...	92

Gdzieś w Polsce... Fotografia	93
Mgła w dolinach	94
Przestrzeń spatynowana	95
Przestrzeń Ikara	96
Przestrzeń ciemnogrnatowa	97
Ponidzie leśne o barwach chalcedonu.	
Pohukiwania pięciu sów	98
Jesień w Górach Grybowskich	99
Nocna sonatina	100
Budzenie się	101
*** [Buki czerwone]	102
Cerkiew	103
Dolina z zapachem siana	104
Po burzy I	105
Po burzy II	106
Późna jesień w Bieszczadach. Echo przyprószone wiatrem ..	107
Ulewa. Drżenie ciemności	108
Wędrowiec. Puszcza Jodłowa	109
Zachód słońca	110
Stary park	111
To tu chmury chodzą po błękitach	112
W dolinie	113
Pradziadek z wierzbami w tle	114
Przedświt	115
Świtanie	116
Puszczański świt	118
W ogrodzie	119
Mur z biedronką w tle	120
Moje miasto	121
Pod słońce	122
Zamyślenie z drzewami w roli głównej	123
Notka biograficzna	125

W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrzcz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XV, Osiodłane myśli*, Bielawa 2015.
- *Sudecka poezja i proza XVI, IV Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2015.

- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza XVII, Dziennik pieszycki*, Bielawa 2016.
- Barbara Bulerska, *Sudecka poezja i proza XVIII, Kartki z kalendarza*, Bielawa 2016.
- *Sudecka poezja i proza XIX, V Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2016.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XX, Mortum urbi*, Bielawa 2017.
- Weronika Karwacka, *Sudecka poezja i proza XXI, Młodzi gniewni*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXII, VI Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXIII, Sudeckiej biblioteki impresje: Wybór wierszy*, Bielawa 2017.
- Dorota Ciszewska, *Sudecka poezja i proza XXIV, Chmura życia*, Bielawa 2018.
- Roman Gargas, *Sudecka poezja i proza XXV, Mistrz i Krystyna*, Bielawa 2018.
- *Sudecka poezja i proza XXVI, VII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2018.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XXVII, W rosochach myśli*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXVIII, Sudeckiej biblioteki impresje 2019. Wybór wierszy*, Bielawa 2019.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXIX, Im-puls*, Bielawa 2019.
- Paweł Stolarski, *Sudecka poezja i proza XXX, Prototyp*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXI, VIII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXII, Sudeckiej biblioteki impresje 2020. Wybór wierszy*, Bielawa 2020.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXXIII, c(i)ałokształt*, Bielawa 2020.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza XXXIV, Tatuaze*, Bielawa 2020.